

Vancouver



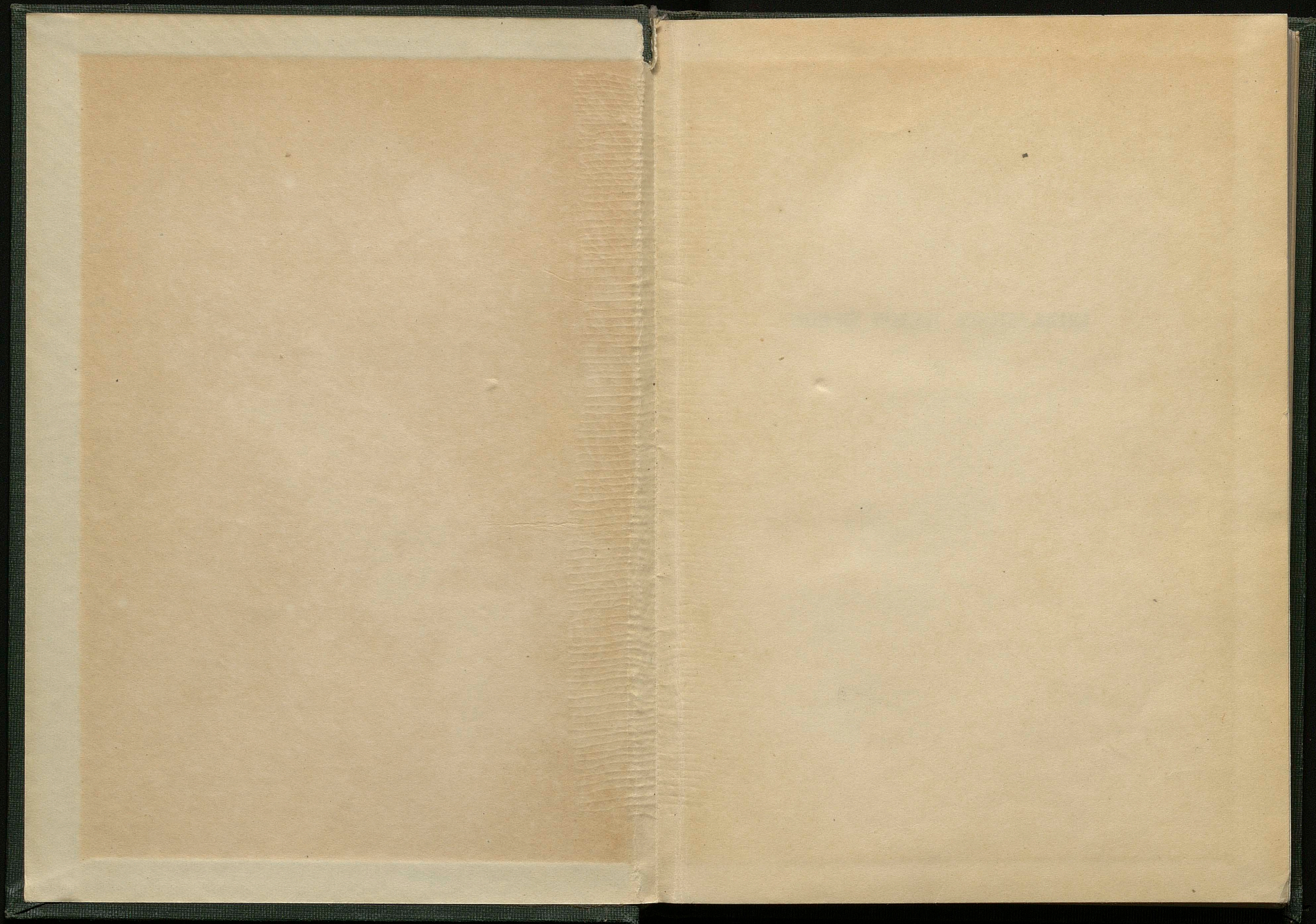
Kaspra
wicz

M. P. 1897



I





OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ

I.

OBRAZ
POEZJI ANGIELSKIEJ
Z ORYGIN. ANG.

ZEBRAŁ, PRZEŁOŻYŁ
I NOTATKAMI BIOGRAFICZNYMI OPATRZYŁ
JAN KASPROWICZ

WYDAŁ Z RĘKOPISU WOJCIECH MEISELS
KRAKÓW — 1931

820-1 (082.2)



Wszelkie prawa zastrzeżone

821.111-1 (082.2)

74

8

WYDAŁ Z REKOPISU WOJCIECHA MEISLERIA

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

I.

STARO-ANGIELSKIE BALLADY
LEGENDY I PIEŚNI TWÓRCÓW
BEZIMIENNYCH

STARO-ANGIELSKIE BALLADY
LEGENDY I PIESNI TWÓRCÓW
BEZIMIENNYCH

SOKÓŁ.

*Luli, luli, luli — lej
Sokół mi porwał skarb mój do kniej.*

Góram i dołem poniósł go w świat,
Poniósł go lotem w posępny sad.

Pałac w tym sadzie posępny był
Bisior z kosztownym suknem go krył.

Łoże w nim stało, zasłane dlań
Czerwona złota tworzyła tkan.

W łożu tem leżał rycerny mąż,
Z ran jego krew lała się wciąż.

W nogach, u łoża, pies leżał tam,
I ziemię z krwawych zlizywał plam.

U boku łoża klęczy i moc
Leż leje dziewczę i dzień i noc.

A w głowach łoża kamień tam stał,
Co Corpus Christi wryte miał.

*Luli, luli, luli — lej
Sokół mi porwał skarb mój do kniej.*

TRZY KRUKI.

Na drzewie kruki trzy siedziały,
Jak zwykle, czarne piórka miały.

Jeden z nich samkę swą zagadnie:
„Gdzie nam śniadanie jeść wypadnie?“

„Tam, na zielonej tej rozcieży,
Gdzie ten zabity rycerz leży.

„Smycz psów, u jego nóg zebrana,
Dobrze pilnuje swego pana.

„Nad nim sokoły krążą sobie,
Że ptak go żaden nie rozdziobie.

„Sarna ku niemu mknie w tej porze,
O ile z młodem pędzić może.

„W górę podnosi jego głowę,
Całuje rany purpurowe.

„Na swe go plecy bierze, skora
I dźwiga w stronę go jeziora.

„Przed prymą grób mu sprawi ona,
A przed nieszporem sama skona!

„Niech Bóg każdemu rad użyczy
Takich sokołów, dam i smyczy!“

SROGA MATKA.

Oparła grzbiet o krzak tarniny, —
Piękne w dolinie są kwiaty;

I porodziła dwie dziecińcy,
Liść rośnie w zieleń bogaty.

Wstążką, co w włosach ją swych miała,
Skrępuje srogo dziątek ciała.

„Nie śmiejcie się tak dzieci miłe,
Uśmiech wasz wpędzi mnie w mogiłę,

A jeśli, głodne, ssać zechcecie,
Ssać u mej piersi nie będziecie.“

Wyciągła nożyk swój z ukrycia,
I pozbawiła chłopców życia.

I grób głęboko wnet wykopie,
Pochowa to i tamto chłopię.

Pod krzakiem głogu obu skryje,
I łzami ręce swe obmyje.

„Gdy patrzę w ciebie, Boże miły,
Dzieci mię z Tobą poróżniły.

Miałabym radość w ich uśmiechu,
Lecz śmiertelnegom winna grzechu.“

Marmur postawi na ich grobie,
Myśląc, że panną wraca sobie.

Z zamku dwóch nagich chłopców zoczy:
Bawią się w piłkę najochoczej.

„Przecz nie jesteście dzieci moje?
W sobole, w jedwab was przystroję.

W jedwabnym obu was ubrała,
W porannem mleku wykapała“;

„Będących twemi, matko miła,
Mniejbyś troskliwie hołubiła.

Będących twemi, w wór nas gładko
Ubierałabyś, sroga matko;

Lecz my dziś jesteśmy w niebie —
Piękne w dolinie są kwiatki.

A w piekle męki dręczą ciebie —
Liść rośnie w zieleń bogaty
Po tysiąc razy dobranoc! dobranoc!

SROGI BRAT.

Trzy panny w swem się bawią gronie,
W piłkę — *hej — hej — że! radujcie się!*

Zjawił się prosić rycerz o nie —
O jak pierwiosnek cudny pęka!

Śpiewaj Anullo, Marto, Marjo!
Kona liść w lesie! Radujcie się.

Pierwsza z nich suknię ma czerwoną:
„Chcesz, piękna panno być mą żoną?”

Średnia z nich w zieleń jest ubrana:
„Chcesz mnie, o piękna, mieć za pana?”

A zaś najmłodsza z nich jest w bieli:
„Czyż mnie twe serce uweseli?”

„Chcesz me, rycerzu, zyskać względy,
Do mej rodziny idź w te pędy.

„Do ojca, króla, bądź gotowy,
Pójść i do matki, mej, królowej.

„I siostra Anna czeka na cię,
Pomnij o Dżonie też, mym bracie“.

Do ojca, króla, wszedł gotowy,
I do jej matki, do królowej.

U siostry Anny wnet go macie,
Zapomniał był o Dżonie, bracie.

A gdy zaślubin przysła pora,
Rycerz do swego brał ją dwora.

Nie jeden z panów i rycerzy,
By ujrzeć damę wnet przybieży.

Nie było człeka, coby dla niej
Nie chciał być mężem, dla tej pani.

Ojciec po schodach ją sprowadzi,
Matka całuje zaś i głdzi.

Już siostra Anna z nią na dworze,
Brat Dżon na konia wsiąść pomoże.

Z siodła ku niemu się przechyli
By ucałować go najmilej.

On nóż wyciągnie, długi, ostry,
Ażeby wbić go w serce siostry.

Nie przejechała ni pół miasta,
Gdy krew serdeczna płaszczy jej schłasta.

„Jedź-że bezpiecznie“ drużba powie,
Snać trudno naszej białogłowie!“

„Jedź, jedź!“ tak drugi odpowiada;
„Snać nasza pani mdła i blada!“

I pan się młody zjawi potem,
Wprost do swej pani pędzi lotem.

„Czy twoje siodło krzywo siedzi,
Czy też twój rumak tak się biedzi!“

„O, za ten płot mnie powiedź mile,
Krew mi się leje, spoczne chwilę,

Mile mię powiedź na to wzgórze,
Ostatnią wolą ci posłużę“.

„Co w darze masz dla ojca swego?“
„Tego rumaka mam białego“.

„Co w darze masz dla swej matuli?“
„Myślę o ślubnej swej koszuli“.

„Dla siostry Anny co masz w darze?“
„Złocisty wachlarz jej przekażę“.

„Co w darze masz, dla brata Dżona?“
O hej-że, hej! O radujcie się!“

„Szubienica mu przeznaczona“.
A kwiat pierwiosnka cudnie pęka:

Śpiewaj, Anneto, Marto, Marjo!
Kona liść w lesie! Radujcie się“.

SROGOŚĆ BARBARY ALLEN.

W skarleskim grodzie, skąd jest mój ród,
Piękną dziewczynę znano:

„Ach! ach!“ wołała wszelaka młódź —
Barbara Allen jej miano.

W cudownym czasie, gdy miesiąc maj
Cudowne rozwija czary,

W śmiertelnym łożu leżał Dżemmy Grove
Z miłości do Allen Barbary.

I ku niej swego człowieka ślał
W miasto, gdzie wokół ją znano:

„Do mego pana spiesz, jeśli tve
Barbara Allen jest miano“.

Zwolna, o zwolna zebrała się,
Zwolna ku niemu się wlecze,

A gdy zasłonę podniosła zeń:
„Znać kończysz młody człowiecze“.

„Tak! Jestem chory, tak, chory ach!
Barbara Allen tak chciała!

Byłoby cniej dla sprawy mej,
Choćby się krew twa polała!“

„Czy nie pamiętasz“, odpowie mu
„Gdyś wino czerwone pił z czary,
Wznosiłeś zdrowie ich wszystkich wkrąg,
Prócz zdrowia Allen Barbary.“

Do ściany lica odwrócił swe,
Śmiertelna zbliża się mara.

„Adieu, druhowie! a niechże w was ma
Przyjaciół Allen Barbary.“

A gdy polami wracała w dom,
Dźwięk dzwonów w uszy jej wpada,
A w każdym dźwięku to jedno brzmi:
„Barbarze Allen biada!“

„O matko, matko, łóżko mi ściel,
A miękko niech będzie posłano;
Z miłości umarł dziś młodzian mój,
Ja umrę dla niego rano.

„Żegnajcie“, powie, „druhniczki me,
A strzeżcie się mej przywary,
Niechże przestroga będzie wam los,
Los srogi Allen Barbary!“

ALISON GROSS.

Alison Gross tam z tego grodu,
Z wiedźm najstraszliwsza na Północy
Raz mnie zwabiła do swej schroni,
Czuli i pieści z całej mocy.
Głaszcze mi głowę, czesze włosy,
Sadza łagodnie na kolana;
„Chcesz zostać wiernym mym kochankiem,
Skarbów ci mnogość będzie dana“.
Płaszcz pokazała mi szkarłatny,
Strojny we frendzle, złote kwiaty:
„Chcesz zostać wiernym mym kochankiem,
Twoim ten będzie dar bogaty!“
„Precz, precz, ohydna czarownico,
Zostaw mnie, zniknij memu oku,
Niechcę być wiernym twym kochankiem,
Żyć ja nie myślę przy twym boku“.
Przyszła z koszulą jedwabnistą,
Cudnie perłami obrzuconą:
„Chceszli mym wiernym być kochankiem,
Dla ciebie skarby te zapłoną“.
Podniosła puchar cud dla oka,
Mnogiemi obsian wkrąg klejnoty,
„Chcesz-li być wiernym mym kochankiem,
Twym będzie dar ten szczerozłoty.“
„Precz, precz, ohydna czarownico,
Zostaw mnie, odejdź precz w tej chwili,
Niechcę całować ust twych wstrętnych,
Żaden mi skarb się twój nie mili“.

Obróciła się naokoło,
Trzykroć zadęła w róg zielony,
Na miesiąc klnie się i na gwiazdy,
Bym przeklął dzień, gdym był zrodzony.
Potem srebrzystą weźmie różgę,
Trzykroć się wokół z nią pokręci.
I tak pomruczy, żem bez siły
Upadł na ziemię i pamięci.
W wstrętnego węża mię przemieni,
Że wokół drzewa wić się muszę,
A w noc sobotnią wciąż się jawi,
Ta siostra Mary w moją głuszę.
Srebrną ma misę, srebrny grzebień,
Chce włos mój czesać na swym łonie,
Ja wolę wić się wokół drzewa,
Niśli się kochać w Alisonie.
Ale nareszcie w Wszystkich Świętych,
Kiedy, wracając, Dwór przystanie,
Królowa zesła k'memu drzewu,
Po tym stokrótek swym dywanie.
Wzięła mnie w ręce mleczno białe,
Na swych kolanach trzykroć głaska:
Dawną mi postać przywróciła,
Żem przestał pełzać to jej łaska.

DUMNA PANI MARGARETA.

Piękna Margreta, dumna pani,
Królewską była krewną;
Pani Margreta próżną była,
Ponad miar siebie pewną.

„O, pod cmentarne przybądź wrota,
Szpilkami przyjdź złotemi,

ORIE.

Stała nad brzegiem młodsza, na skale,
A w tem ta starsza straci ją w fale.

„O siostró, siostró, podaj mi rękę,
Połowę mej ziemi dam ci w podziękę.

Podaj, mi, siostró, choć rękawicę,
Pokocha William luby twe lice“.

„Nie schwyćę twej ręki, niechże przepadnie,
Ona mi najdroższy dobytek kradnie.

Jasne twoje włosy i liczko różowe,
Na zawsze mi wiek panieński zniszczyć gotowe“.

I ona to raz tonie, to górą płynie,
Aż do młyńskiej tamy mknie po głębinie.

A w tem syn młynarza zjawił się tu młody,
Ujrzał piękną dziewczkę na głębiach wody.

O, ojczu, ty ojczu, imaj się tamy,
Syrenę czy śnieżnego łabędzia mamy“.

Młynarz zaciągnąć tamę przyszedł w tej chwili,
Tonącą kobietę wraz zobaczyli.

Nie było wcale widać pięknego łona,
Tak jest złotym pasem opięta ona.

Nie było wcale widać jej nogi białej,
Tak ją złote frendzle wokół skrywały.

Nie było widać złotych jej włosów bo wszędy,
Przeplatały je pereł nizane grzędy.

Nie było widać palców, każdy się mieni,
Od djamentowych wszędzie pierścieni.

I harfiarza ku niej droga przywiedzie,
Co grywał królowi w czas przy obiedzie.

Gdy ujrzało panią to jego oko,
Jął zaraz lamentować, westchnął głęboko.

Z kości jej piersiowej zrobił odrazu
Harfę, coby serce skruszyła z głazu.

Z trzech zwojów jasnych włosów struny uprzedzie,
Aby je naciągnąć na swe narzędzie.

Poszedł do pałacu jej rodziciela,
Dworzan zgromadzonych zastał tam wielu. —

Opuścił swoją harfę na bryłę głazu,
Ona jęła sama dźwięczec odrazu.

„O, tam jest król, mój ojciec, a przy nim zasię,
Królowa, matka moja posadziła się.

Tam brat mój Hugo stoi, a obok niego
Mojego Williama widzę lubego“.

A w końcu harfa takie wydaje pienie —
Binnori, o Binnorie —

„O biada mej fałszywej siostrze Helenie! —
Przy tamie młyńskiej Binnori...

TOMASZ ŚPIEWAK.

Nad brzegiem Hountlie cny Tomasz legł,
Wtem cudo mu wpadnie w oczy:
Nadobna dama od Eildon Tree
Nadjeżdża dziw uroczy.

Zielony jedwab na sobie ma,
Płaszcz w piękne aksamity,
Srebrzystych dzwonek pięćdziesiąt pięć
Ma koń u każdej kity.

Cny Tomasz kołpak zdejmie co tchu.
I co tchu zegnje kolana:
„Cześć ci Marjo, królowo nieb!
Bo równać na ziemi nie znana!“
„Nie, nie, Tomaszu“ tak rzeknie mu,
„Nie mnie ta nazwa się godzi:
Królowa Elfów rozkosznych ziem
Nawiedzić ciebie przychodzi.
„Śpiewaj Tomaszu“, rzeknie „i graj,
Śpiewaj i grajże wraz zemną.
A gdy całunkiem tkniesz się mych warg
Miłość utwierdzisz wzajemną.
„Zali mnie dobro czeka, czy zło,
Los każdy zniosę bez skargi“.
I pocałował pod Eildon Tree
Te jej różane wargi.
„Teraz chodź zemną“, tak rzeknie mu,
„Chodź zemną Tomaszu luby:
Będiesz mi służył przez siedm lat
Dla dobra swego czy zguby“.
I mleczno biały już pod nią koń
Z tyłu posadzi Tomasza.
Szybciej od wichru rumak jej gna,
Kiedy go uzdą przestrasza.
I tak ci pędzą, tak pędzą wciąż,
Rumak ich niczem wichura;
Precz poza niemi żywotny kraj,
Naokół pustka ponura.
„Wierny Tomasz, zsiądź z konia, zsiądź,
Na me kolana złóż głowę,

Zostań tu chwilę, a ja ci trzy
Pokażę cuda gotowe.
„Czy wąskiej ścieżki nie widzisz tam?
Zarosły ją tarnie i głogi;
Sprawiedliwości drożynę masz
Mało kto spragnion tej drogi“
„A ten szeroki, szeroki tor,
Wijący się pośród lilji:
Niegodziwości trakt — inni go
Drogą do nieba ochrzčili“.
„A tor ten piękny za wzgórzem tem
Widzisz w paprociach te zwoje?
Do kraju Elfów prowadzi on,
Nocą tam będziem oboje“.
„Ale cokolwiek byś ujrzeć miał,
Albo usłyszeć milcz o tem.
Jedno li słowo w krainie mej
Zamknie ci drogę z powrotem“.
O, tak pędzili, pędzili wciąż,
Brnąc po kolana w topieli,
Ani księżyc, ni słońca tam,
Szum tylko morza słyszeli.
Gwiazd niezna mrok, mrok, tylko mrok.
I czerwień krwi po kolana:
Niby jak zdroje po kraju tym
Wkrąg płynie krew ta wylana.
Wnet się dostali w zielony sad,
Ta owoc mu zerwie z jabłoni:
„Masz za odwagę; dam język ci,
Co cię od kłamstwa uchroni.“

„Mam ja swój język“, cny Tomasz rzekł,
„Piękny to skarb mi dajecie;
Nie mógłbym sprzedać ni kupić nic,
Na targu czy gdzie na świecie.
Dla książąt, panów nie miałbym słów,
O względy jak prosiłbym panie?“
„Zmilknij Tomaszu“, tak rzeknie mu,
„Jak mówię tak się też stanie.“
Z pięknego sukna dała mu płaszcz,
Z welwetu bucik zielony,
Po siedmiu latach Tomasza nikt,
Śród ziemskiej nie widział strony.

PAN PATRYK SPENS.

I.

Wyjazd na morze.

Król w Duntermlińskim grodziszczu siadł
I wino popija krwawe:
„Gdzież dzielny żeglarz co nowy mój tram
Powiedzie na wyprawę“.

Wstał stary rycerz z prawej u nóg
Królewskich i rzekł: „Jedynie
Godnym żeglarzem pan Patryk Spens,
Nikt tak po morzu nie plynie“.

I list obszerny napisze król,
Sam go pieczęcią zamyka,
I nad wybrzeże morskie go śle
Do Pana Spensa Patryka.

„W norweski kraj — w norweski kraj,
W norweski kraj morską pianą,

Z Norwegji do dom sprowadzić masz
Królewską córę kochaną“.

Pan Patryk pierwszy przeczytał wiersz
I śmiech go wziął ochoczy,
Pan Patryk drugi przeczytał wiersz
I lza mu wzrok zamroczy.

„Któż na czyn taki zdobywa się,
Któż w króla tak wmówił nieboże,
Aby nas dzisiaj na głębię wód,
W takiej wysyłać porze?“

„Nie wstrzyma nas ten, czy ten czas,
Morską popłyniem pianą,
Do domu przywieźć z Norwegji mam
Królewską córę kochaną“.

Rozpięli żagle, by ruszyć w świat,
W poniedziałkowe rano,
I u wybrzeży norweskich wód
W środę wylądowano.

II.

Powrót.

„Co tchu, co tchu, drużyno ma!
Statek nasz ruszy o wschodzie!
O nie mów nie, cny panie mój,
Lękam się burzy na wodzie.“

„Wczoraj widziałem jak księżyc miał
W swych rękach, o panie luby
Powtórny księżyc i lękam się,
Jakowejś dla nas zaguby.“

A gdy nie żadne tam mile mil,
Lecz tylko trzy przepłynęli
Nastała ćma i zadał wiatr,
Mrok osiadł na topieli.
Kotwica w strzęp, strzaskany maszt,
Straszne się wszczęły orkany,
Fale na statek rzuciły się
By jego rozerwać ściany.
„O jest, gdzie jaki sprawny tu człek,
Co ster w swoje ręce zabierze?
Ja na szczyt masztu wespnę się wnet,
By ujrzeć jakie wybrzeże“.
„Sprawnego we mnie żeglarza masz,
Co ster z twojej ręki zabierze,
Ale się boję, czy masztu szczyt
Pokaże ci jakie wybrzeże?“
Nie wiele kroków zdążył się wspiąć,
Bo już za pierwszym krokiem
Oblał nasz okręt potężny wał,
Ślonym go oblał potokiem.
„Idźcie co prędzej, niech każdy swój
Jedwabny płaszcz tutaj poda,
Zatkać wyrwę, by w statku bok
Przestała łać morska się woda.“
I tak się stało, że każdy swój
Jedwabny płaszcz zaraz poda,
Lecz nie przestała w statku się bok
Morska przelewać woda.
Aż z szkockich panów nikt nie był rad,
Że zmoczył swój but korkowy,

Lecz nim do końca doszła ta gra,
Zamokli aż po czub głowy.

Nie jeden łoża miękkiego puch
W morskiej zatopi się pianie,
I nie jednego wielmoży syn
W dom się już nie dostanie.

O długo, długo posiedzą tam,
Ich damy z wachlarzem w dłoni,
Zanim zobaczą, iż Patryk Spens
Swym statkiem na ląd przygoni.

O długo panny tam posiedzą,
Z grzebieńmi we włosach złotemi.
Próżno kochanków czekają swych
Nie ujrzą ich nigdy na ziemi.

Jest głąb na drodze do Abendur,
Pięćdziesiąt łokci mierzy,
Tam leżał na zawsze Pan Patryk Spens,
Z nim zastęp szkockich rycerzy.

HRABIA BRAND.

O grafie Brandzie czyście słyszeli?
O lalli, o lilli, lalli!

Do córki króla Anglii on się zalecał —
Noc posępna na nas się wali.

Lat miała piętnaście ta dziewczka hoża,
Kiedy się zbliżyła do jego łoża.

„O hrabio Brandzie, rada zobaczę,
Jak zgraja ogarów wśród knieje skacze.“

„Jednego li mam konia dosiądź go w drogę,
Ja za tobą, pani, na pieszo mogę.“

„Dwa ojciec mój posiada, ty w tej potrzebie
Weźmiesz najlepszego, Brandzie dla siebie.“

Popędzili cwałem, górą i dołem,
Z nikim się po drodze nie zeszli społem.

Nareszcie spotkali Huda żebraka,
Na złe, nie na dobre znajomość taka:

„Zabij hrabio Brandzie, tego człowieka,
Jeśli ci jest bliska, a nie daleka“.

„Byłaby to pani sprawa nie miła,
Gdyby dłoń siwego starca zabiła,

„O nie luba pani, tego nie zrobię,
Rzucę mu dukata niech idzie sobie.“

„Gdzie wy tak jedziecie ten dzionek cały,
Lub skąd wasze ręce skarb ten porwały?“

„Ani ja tak jadę przez dzionek cały,
Ani moje ręce skarb ten porwały.“

„Siostra to jest moja, siostra rodzona,
Wiodę ją z Winczesteru, chora jest ona.“

„Jeżeli śmiertelnie chorą się mieni,
Dlaczego ma robrony z takiej czerwieni?“

„Jeśli śmierci bliska, dlaczego oto
Takie ma na sobie kosztowne złoto?“

A gdy żebrak przybył do panny wrótni,
Zaczął do nich pukać jak najokrótnej.

„Gdzież to się podziałą panienka domu?“
„W piłkę z swemi družki gra tam bez sromu.“

„Ha! ha! ha; błędą macie wiadomość o tem
Przywieźć swą pannę, idźcie z powrotem.

„Spotkałem ją jadącą, gdzieś w polu dzikiem
Razem z hrabią Brandem, jej miłośnikiem.“

Jej ojciec piętnastu uzbroił ludzi
I razem ze wszystkimi w pogoń się trudzi.

Przez lewe spojrzy ramię panna i rzeknie:
„Już z nas hrabio Brandzie nikt nie ucieknie.“

„Gdy jeden się po drugim przybliży do mnie
Ty przy mnie patrz, jak będę bił ich ogromnie.“

„Gdy przyjdą do mnie społem, ty w tę godzinę
Stój tu i patrz jak od nich ja tutaj zginę.“

Jeden się po drugim k'niemu zbliżyli,
I on ich czternastu ubił w tej chwili.

Piętnasty się ztyłu zakradł i zasię
Ranę mu śmiertelną zadał w tym czasie.

Hrabia Brand pomimo, iż ciężko jest ranny,
Przygotował konia dla swojej panny.

A gdy przyjechali nad Doonu zdroje,
On z konia zeskoczył zmyć rany swoje.

„Widzę, hrabio Brandzie, zdrój krwi bogaty!“
„To li odbłysek mojej szkarłatnej szaty.

Jechali aż dotarli do wrótni matki
I tutaj on zapukał swemi ostatki.

„O, syn mój jest zabity w tej on godzinie
Dla angielskiej dziewczki tak marnie ginie.“

„O nie mów-że, tak matko, najdroższa z świata,
Lecz za najmłodszego wydaj ją brata.

Nie kończę ci ja jeden w tej tu godzinie
Ale siedmnaścioro nas razem ginie.“

STARY ROBIN Z PORTINGALU.

Nigdy dotychczas tak stary człek
Nie brał tak młodej żony,
Jak z Portingalu ów stary mąż,
Robin bez końca trapiiony!

Wziął sobie córkę burmistrza z Lin
Myśląc, — pożał się Boże! —
Iż z nią w miłości wciąż będzie żył,
Nie w nawiści i sporze.

Łoże małżeńskie jak rzadkie im!
Jemu sen z oczu znika,
A ona, ach, zrywa się w łzach
I pędzi do sternika.

„Śpisz, panie Dżajlsie? zbudź-że się zbudź!
A może cię niema wcale?
Śpisz panie Dżajlsie? o zbudź się, wstań!
Otwórz, niech się pożałę.“!

„O pani słodka: ja czuwać już!
A czego chcesz odemnie?

Myślałem właśnie jak ma się mąż —
Czy żyć mu jest przyjemnie?“

„Dwudziestu czterech junaków stąd“ —
Tak ona mu odpowie —

„Dwudziestu czterech kuzynów mych
Czyha na jego zdrowie.“

Pacholik jego posłyszał to,
Gdy, było konia pławi
I z wielkiej trwogi o pana los
Serce się jego krwawi.

Narzeka, wzdycha, leje łzy,
Ja na krzyż święty klęę się,
Że te łzy jego potrzebne są
Jak wiatr, co słomką trzęsie.

Słyszał te jego rozpaczę pan,
Widział jak w sadybie stał błady,
I tak się pyta: „Cóż chłopcze mój
Może ci trzeba rady?

Może cię skrzywdził jakowys wróg?
Może kto z naszych, z bliska?
Może ci dobry towarzysz zmarł?
Cóż tobie łzy wyciska?

Może cię dotknął zarządca mój?
Ja go zstrofuję! nikomu —
Wiedz o tem chłopcze, nie wolno cię
Krzywdzić w tym moim domu.“

„Nie twój zarządca, nie inny ktoś,
Z rodzaju tego człowieka,
Jeno dziś rano zdawało się,
Że śmierć na ciebie czeka!

A sternikowi zawdzięczasz to
I twojej jasnej pani“

„Jeśli to prawda, majątek mój
Zapiszę tobie w dani.“

„Drogi mój panie, jeśli to kłam,
Pacholę twoje zginie.“
„Tak, gdy to kłam jest, ty trupem już
Padniesz mi w tej godzinie.“

Po jasną panią na górę idź,
Poproś, by zeszła do mnie,
Powiedz, jak niemal umieram tu,
Jak tutaj cierpię ogromnie.“

Zeszła nadobna małżonka wnet,
W czerwoną odziana szatę;
Cudnie pierścienie na palcach jej,
Rozjaśnia całą komnatę.

„A czego pragniesz, małżonku mój,
Czemuś posyłał po mnie?“

„Patrz, droga pani, umieram snąć,
Tak tutaj cierpię ogromnie!“

„Jeżeliś chory, małżonku mój,
Ból mi to sprawia nie mały:
Lecz pięć mych dziewczyn, a z niemi ja
Przy łożuć będziem czuwały.

A gdy się zbudzisz z pierwszego snu,
Uwarzę ci napoje.

A gdy z drugiego snu zbudzisz się,
Troski uśmierzę twoje.“

W jedwabny kaftan przywdział grzbiet
Ubrał się w pancerz, a potem,
Na głowę szyszak stylowy wziął,
Czerwonem sadzony złotem.

U boku lśniący położył miecz,
A w nogach zasię drugi,

Dwudziestu zbrojnych pod ręką ma, —
Czuwają, wierne sługi.

A tych dwudziestu i czterech w czas
Północy k'niemu pośpieszy,
Sam na ich czele pan Dżajler stał,
Dowódca zdradzieckiej rzeszy.

Pan Robin lśniący wyciągnął miecz,
Do Dżajlsa się dobył głowy,
I z tych dwudziestu i czterech nikt
Nie wrócił z miejsca zdrowy.

A i pacholik ku oknu swą
Podniósłszy głowę biedną,
Dostał za swoje: miał ręce dwie,
A wrócił tylko z jedną.

Potem z płonąca zjawiała się
Pochodnią sama podwika;
Napojem Dżajlsa uraczyć chce,
A z mieczem się spotyka.

A co na sam przód przeraża ją
To była Dżajlsa noga:
„O rety! o rety!“ woła, „biada mi,
Moja dziewanna droga!“

Zasię przeraża ją druga rzecz —
Była to Dżajlsa głowa:
„O rety!“ woła, „o biada mi!“
Tu ma się miłość schować

Ssawki od piersi odcięła swej,
Niechże ją krew zaleje!
Odcięła uszy, zamknęła w nich
Swojej miłości dzieje.

I pacholika przyzwie jej mąż,
Dziedzicem go swym uczyni:
„Wszystko jest twoje“ — tak rzecze mu
„Co w płaskach mam i we skrzyni“.

Na prawe ramię przyszyje krzyż,
Na sukni biało czerwony,
Do Ziemi Świętej podaży wnet,
Gdzie Chrystus jest pogrzebiony.

TRAGEDJA DOUGLASA.

„Wstań, panie Douglas!“ ona zawoła,
„Wdziej na się jasną zbroję,
Nie zgódź się na to, ażeby w nocy
Szło zamaż to dziecię twoje“.

„Wstańcie — że mężnych mych siedem synów,
Przywdziejcie swych zbroi jaśnie,
Pilnujcie lepiej najmłodszej siostry,
Starsza w noc uszła właśnie“.

Mleczno-białego dał jej rumaka,
Na jabłkowitym sam siedzie,
Z boku myśliwski róg swój zawiesi
I w drogę w rażnym mknie pędzie.

Lord Willjam spojrzy przez lewe ramię,
Czy kogo niema wśród drogi,
I tych jej siedmiu braci spostrzeże,
Pędzących przez rozłogi.

„Mościa Margreto, zejdź!“ tak jej powie,
„Za uźdę chwyć konia mi srodze,
Aż nie powstrzymam twych siedmiu braci,
I twego ojca w ich drodze“.

I tak ci stała, tak gorzko stała,
Łzą nie zwilżyło się oko,
Aże nie padli bracia i ojciec,
Co ją tak kochał głęboko.

„Panie Willjamie, powstrzymaj rękę,
Przesrogie są ciosy twoje,
Wiernych zdobędę ja miłośników,
Bez ojca się nie ostoję“.

I do rąk weźmie piękną chusteczkę,
Z cienkiej hollandzkiej przędzy,
I niżli wino czerwienie rany
Ojcowskie otrze coprędzej.

„Wybierz Margreto, zostaniesz tutaj,
Czy pójdziesz ze mną razem?“,
„Z tobą Willjamie, bo nikt mnie za twoim
Nie odprowadzi rozkazem“.

Na mleczno-białym ona rumaku,
Na jabłkowitym on siedzie;
U boku krzywy róg swój zawiesi,
I w drogę w spokojnym pędzie.

I tak-ci jadą w świetle księżycy,
I tak-ci jadą po błoni,
Aże przybyli do jakiejś wody
I tu zeskoczą z swych koni.

Zeskoczą z koni, aby się napić
Z ruczaju, co tak jest świeży,
Wtem do krynice krew mu pocieknie,
Strach na nią luty uderzy.

„Lordzie Willjamie, podnieś się, podnieś!
Śmiertelnieś ranny, zawoła.

„Nie, mej szkarlatnej opończy cień to
Odbija się w wodzie dokoła.“

I tak-ci jadą w świetle księżycy,
I tak-ci jadą po błoni,
Aż do wrót jego matki przybyli,
I tutaj zeskoczą z koni.

„Wpuść, pani matko, wpuść mnie“, tak woła,
„Wpuść mnie!“ tak woła na nią;
„Wpuść, pani matko, wpuść mnie! tej nocy
Zdobylem swoją panią.

„Przygotuj łożę, o pani matko,
Szerokie, głębokie łożę,
Niech spocznie przy mnie panna Margreta,
Sen słodszy mnie przemoże“.

Lord Willjam umarł w czas przed północą,
Panna Margreta przed ranem,
Oby los lepszy zajął się wszelkiem
Sercem rozmiłowanym.

Lord Willjam leży u Panny Marji,
Panna Margreta przy chórze;
On ma na grobie swoim krzak głogu,
Ona czerwone róże.

Te się tak cisną, tak rwą się k'sobie,
Jak gdyby złączyć się chciały.
Dziś się o losie kochanków dwojga
Dowiedzieć może świat cały.

Przyjechał Czarny Douglas, lecz srogość
W sercu mu nie ochłódła:
Piękny krzak głogu, wyrwał i rzucił,
Do Panny Maryi źródła.

SIR ALDINGAR.

Król nasz podłego marszałka miał,
Sir Aldingara z nazwiska,
[Naszą królową on posiąść chciał,
Iżby mu była bliska.]

Chciał naszą zasnąć królową mieć,
Chciał, by małżonka zdradziła.
Ale mu zawsze odpowie „nie!“
Nasza królowa miła.

Sir Aldingar wciąż w wnętrzu knuł,
Coby wymyślić dało się,
By ją o podłość przekonać mógł,
I potem spalić na stosie.

Wtem żebrak przybył do zamku bram,
Kulawy i ślepy nieboże,
On go w te tropy na plecy wziął,
W królowej go zaniósł łożę.

„Leż tu, żebraku, ruszyć się stąd
Niech nie postanie ci w głowie,
A w dwie godziny, w tym jeszcze dniu
Całego cię wyzdrowię“.

A potem poszedł sir Aldingar
Pokazać, czem jest królowa,
A z naszym królem zszedł się, rzekł:
„Niech Bóg cię w swej łasce zachowa.

„Mam dla cię wieść, podam jej treść,
Gdy łaska mi twoja rozkaże.“
„A mówże, mów, wysłucham rad,
Co powiesz sir Aldingarze“.

„Przenigdy żaden chrześcijański król,
Nie bywał w takiej żalobie;
Miłość ma świeżą królowa twa,
Nie chce nic słyszeć o tobie.
„Gdyby wybrańcem jej rycerz był,
Hańba nie byłaby taka,
Ale ślepego ma ona dziś,
I kulawego żebraka.“
„Jeżeli twoja sprawdzi się wieść,
O ty mój Aldingarze,
Wielkim rycerzem uczynię cię,
Lennem i złotem obdarzę.
„Ale jeżeli mieści się fałsz,
W twem słowie sir Aldingarze,
Wówczas nie inna czeka cię śmierć:
Na drzewie powiesić cię każę.“
I do sypialni królowej szedł,
U łoża jej stanął tej pory;
„Brzydki kochanek, król Harry rzekł,
Dla pani mej Elinory.
„Gdybyś mężczyzną, czemś nie jest, był,
Od mojej byś zginął stali,
Tak zaś dwa słupy postawić dam,
By ciebie na jednym wieszali.
„Piękny też ogień rozpalić dam,
Ogień dla pani gotowy“.
I co temu poszedł nasz dobry król
Do naszej dobrej królowej.
„Królowo, pani! Strzeż ciebie Bóg!
Niechże cię Chrystus zachowa!

Ponoć świeżego kochanka ma,
Na przekór mnie, moja królowa.
„Gdyby wybrańcem twym rycerz był,
Hańba nie byłaby taka,
Ale ślepego masz ponoć tu
I kulawego żebraka“.
„O biada!“ powie królowa w głos,
„W sir Aldingarze jest zdrada!
O biada!“ powie królowa w głos,
„O rety dla mnie i biada“.
„Nie przypuszczałam, iż sprawdzi się sen,
On jednak sprawdza się ninie,
W ostatni czwartek sen taki-ci ja
W wieczornej miałam godzinie:
„Śniłam, że jakiś straszliwy gryf,
Pozbawił mnie korony,
Zabrał naszyjnik i z głowy strój
I ten mój pas złocony.
„I chciał mnie porwać i w gniazdo swe
Zanieść mnie w swoim dziobie,
Wtem mały szary nadleciał ptak,
Od wschodu przyleciał sobie.
„Od wschodu mały nadleciał ptak,
Lud zwie go sokolikiem,
I ten na śmierć się rozprawił z niem,
Onem stworzeniem dzikiem.
„Gdybym ja była mężczyzną dziś,
Stałałabym lice w lice,
Temu człękowi, co zdrajcą jest
Rzuciłabym rękawicę.

„Lecz że nie mogę sama iść w bój,
Daj mi jednego z rycerzy,
Co z Aldingarem tym zdrajcą złym
W mojem się prawie zmierzy“.

„Daję ci czasu czterdzieści dni,
By ci go znaleźć udało się:
Jeśli nie znajdziesz w czterdziestu dniach,
Spalić ci każę na stosie.“

Królowa prędko posłańca śle,
Ten w południowe mknie strony,
Przebiegł kraj cały i wszerek i wzdłuż,
Aż pod Portsmouskie brony.

[Daremnie szukał w tej jeździe swej,
Pomocy dla królowej:]
Z ziem południowych nie stanął nikt,
Do mężnej walki gotowy.

Drugi posłaniec pomknął na wschód,
Lecz, panie Boże miły,
Coś stworzył słońce i księżyc, on
Najlepsze stracił siły.

A gdy przypędził nad rzeki brzeg,
Chłopczyna mu zaszedł drogę,
Nie na mężczyznę wyglądał on,
Na dziecko lat czterech niebogę.

Dokąd też jedzie, zapytał się,
Lecz poseł mu nie odpowie.
Ten, urażony, pożegnał go:
„Daj-że ci, Boże, zdrowie!

„Zawróć się pośle“, zawoła nań,
Pozdrów odemnie królową,

Gdzie czyha wróg tam jest i Bóg,
Ze swą pomocą gotową.

„Racz ty przypomnąć, że miała sen,
Mówiła, jakby spełniony,
Że jakiś straszny okrutny gryf,
Chciał ją pozbawić korony.

„Że zdarł naszyjnik i złoty pas,
Z głowy kosztowne stroje,
I że ją porwał, by w dziobie swym
Zanieść ją w gniazdo swoje.

„Wtem z wschodu mały nadleciał ptak
Lud zwie go sokolikiem,
Że on na śmierć się rozprawił z nim,
Z onem stworzeniem dzikiem“.

„Ale niech w sercu otuchę ma,
Powiedz i pociesz królową;
Gdzie czyha wróg, tam jest i Bóg,
Ze swą pomocą gotową“.

Posel powrócił w królowej dom,
Niezwyczajnie uradowany,
Królowa również ujrzawszy go,
Radosnej doznała zmiany.

Dwadzieścia funtów posłowi da,
O Boże mój! w szczerem złocie!
„Niczego sobie nie żałuj masz!
Jeszcze ci większe dam krocie“...

Królowa nasza poszła na stos,
W myśli ma śmierć i nic więcej,
A wtem od wschodnich przypędzi stron,
Ten mały rycerz chłopięcy.

[Dzwonkami uzdy podzwania koń,
A on, przemily chłopiec,
Do stosu naszej królowej biegł,
Pod sam płonący kopiec.
„Zagasić ogień!” rzekł, „który tu
Dla naszej pani wzniecono
I niech się zjawi sir Aldingar,
Odważny to rycerz pono”.
Gdy Aldingar zobaczył go,
Lekce go sobie waży:
I od pół setki takich, jak on,
Nic mu się złego nie zdarzy.
„Chodź, Aldingarze, chodź tutaj”, rzekł,
Wyglądasz, jak beczka, zda się,
Lecz nim ja z tobą rozprawię się,
Bóg ześle nam świder w tym czasie.
„Sir Aldingarze, pierwszy ja cios,
Przeciwko tobie wymierzę,
A gdy cios drugi ty zadasz mnie,
Uderzaj bez względu a szczerze!”
I mały chłopiec wyciągnął miecz,
Zda mi się, wszystek ze złota:
Wielka się światłość rozlewa w krag,
Gdy on nim zamigota.
I w Aldingara wymierzył cios,
[Cios jeden tylko wymienie,
Odrazu bowiem, podniósłszy miecz,
Roztrzaskał mu golenie.
„Fałszywy zdrajco, wstań z miejsca, wstań,
Staw się na nogi, walcz dalej!

Tak, jak zacząłeś, pusz się i chelp,
Będziem się potykali”.
„Księdza mi, księdza!” rzekł Aldingar,
Póki te życia mam szczęty,
Księdza, o księdza” rzekł Aldingar,
Z spowiedzią i z sakramenty!
„Pragnąłem naszą królową mieć,
To mi nie udało się,
Więc ją przed królem poszedłem lżyć,
Iżby zginęła na stosie!
„Przebacz, królowa, o przebacz mi,
Na miłość Chrystusową!”
„Jeśli śmierć jego przebaczył Bóg,
Przebaczyć ci jestem gotową!”
„Weź, królu Harry, królową swą,
Kochaj, ją, jak się należy,
Tak ona-ć wierną i stałą jest,
Jak głaz w zamkowej wieży”.
Pod szubienicą stał żebrak ów,
Wesół i zdrowy całkiem.
Z pod szubienicy król Harry go wziął,
Zrobił go swoim marszałkiem.

CZAJLD WATERS.

Czajld Waters gładził raz w stajni swej
Konia bielszego od mleka,
Wtem dama młoda przybyła doń,
Piękniejszej któż się doczeka.
„Czajldzie Watersie, pomagaj Bóg,
Odbierz ci wszelkie smutki:

Złocisty pas mój za długi jest,
 A przecież był mi za krótki.
 „Wszystkiemu winne dzieciątko twe,
 Czuję, że bołą mnie boki:
 Zielony spódnik za wąski mi,
 A był mi za szeroki.
 „Burd Ellen, jeśli“, odpowie on,
 „Mojem, jak mówisz to dziecię,
 Dam ci dlań Czeszajr i Lankaszajr
 I wszystko co mam na świecie!“
 „Czajldzie Watersie“, odpowie mu,
 „Raczej pocałuj mnie cudnie,
 Bo cóż mi Czeszajr i Lankaszajr
 Na północ i na południe?“
 „Jutro, ma Ellen w północny kraj
 Udać się jestem zmuszony“.
 „Pozwól-że giermkim zostać mi twym
 Biec obok ciebie w te strony“.
 „Jeżeli giermkim chcesz zostać mym,
 Jak mówisz, ma Ellen kochana,
 Musisz zielony spódniczek swój
 Obciąć ponad kolana“.
 Na mlecznobiałym rumaku on,
 Czajld Waters pędzi, a ona
 Obciąła sobie spódniczek swój
 I biegnie tuż przy nim, strudzona.
 Czajld Waters konno, a ona z nim
 Biegnie na boso nieboże,
 A on, jak rycerz, nie spyta się:
 „Burd Ellen, dać konia ci może?“

Czajld Waters konno, a ona z nim
 Na boso wskroś ciernie i głogi,
 A on, jak rycerz, nie spyta się:
 „Nie wdziejesz butów na nogi?“
 „Czajldzie Watersie! Ach wolniej jedź:
 Twa jazda coraz to prędsza;
 Dziecię, co wszakże li twojem jest,
 Dobiera mi się do wnętrza!“
 Pod nim był konia wysoki grzbiet,
 Ona tuż przy nim skoro,
 Aż przypędzili do białych wód,
 Nad Klajdskie ponoć jezioro.
 „Widzisz tę wodę, jak rzuca się
 Z wybrzeży do wybrzeży?“
 „Czajldzie Watersie, ochroń mnie Bóg,
 Pływać mi nie należy“.
 Do kolan sięga jej fala wód,
 Gdy pierwsze stawiała kroki:
 „O rety!“ rzekła Burd Ellen, „o!
 Zdrój dla mnie za głęboki“.
 A gdy następny stawiała krok,
 Fala po kłęb ją otoczy;
 „Ach! ach!“ westchnęła Burd Ellen, „ach!
 Złoty mój pas się zamoczy!“
 Za trzecim krokiem Burd Ellen już
 Po same piersi tonie,
 W obu jej bokach zacznie się trząść
 Z zimna dzieciątko w łonie.
 „Cicho, o cicho, dziecino ma,
 Przez ciebie przechodzę te znoje;

Mało się troszczy na koniu tym
Twój ojciec o nas oboje“.
Zdaleka widać tam silny głaz
Na środku tej Kleydzkiej wody,
Na swego konia Burd Ellen on,
Posadził tam bez przeszkody.
A kiedy byli za wodą już,
Tak go u kolan zagadnie:
„Jakże daleko siedziba twa,
Gdzie nam nocować wypadnie?“
„Widzisz o Ellen w dali ten dwór?
Czerwono-złota łśni brama,
Z dwudziestu czterech cudownych dam,
Najcudowniejsza ma dama.
Widzisz, o Ellen, w dali ten dwór?
Czerwono-złote lśnią wieże!
Z dwudziestu czterech cudownych dam,
Jedna za serce mnie bierze“.
„Widzisz, o Ellen, w dali ten dwór,
W tej jaśniejszej bieli;
O tam-ci Ellen, jest dama ta,
Co nas ze sobą rozdzieli“.
„Czajldzie Watersie widzę ten dwór,
Czerwono-złote wieże,
Ciebie i twoje kochanie Bóg,
Niech w swą opiekę bierze!
„Nic złego damie nie życzę twej,
Nie mam-ci tego w potrzebie,
Jeno jej życzę by mogła znieść
I to i więcej dla ciebie.“

„Nic złego damie nie życzę twej,
Z myślami nie noszę się temi,
Jeno ci życzę, by miłość twa
Była-ć najdroższą na ziemi“.
„Lecz psy me pszenney jeść będą chleb,
A ty chleb z otrąb z biedy;
Przeklinać będziesz — o ciężki dzień! —
Żeś miłowała kiedy.
„Czerwone wino ma pić mój koń,
Dla ciebie zaś czysta woda:
I westchniesz mówiąc: „że mogłam, ach!
Miłować, jakaż to szkoda!“
„O, czystą wodę ja będę pić,
Chleb z otrąb będę jadła,
I błogosławić ten szczęsny dzień,
Gdym się rozmiłowała.“
W piłkę dwadzieścia i cztery dam
Bawi się jak najradziej,
A najpiękniejsza Ellen wśród nich
Konia do stajni prowadzi.
W szachy dwadzieścia i cztery dam
Wesoło gra tu sobie,
A najpiękniejsza Ellen wśród nich
Konia ma wiązać przy żłobie.
A kiedy msza do końca szła,
Gdy wszyscy zasiedli przy stole,
Burd Ellen poszła do grona sług,
By obiadować w ich kole.
„O jedz i pij, chłopaczku mój,
Weź się do chleba i piwa!“

„Nie mogę jeść, nie mogę pić,
Ma dusza tak nieszczęśliwa!“

„O jedz i pij, chłopaczku mój,
Przy białym siadź chlebie i winie!“

„Nie mogę jeść, nie mogę pić,
Tak moje serce ginie.“

Watersa matka zapyta się,
Pani to mądra okrutnie, —:
„Skądżeś małego pazika wziął,
Co patrzy na ciebie tak smutnie?

„To ma czerwoną, jak róża twarz,
To znowu jest blady z oblicza,
Raczej niewiasta, co rodzić ma,
Niżeli giermek panicza.“

I siostra Czajlda Watersa w te
Ozwie się słowa do brata:
„Cudnego pazia, mój bracie masz,
Czeka nań moja komnata!“

Bardziej wypada, by mały paż,
Co tu po błocie biegł ninie,
Z kolan tę swoją wieczerzę jadł,
Tam przy kuchennym kominie,
Niżli w komnacie u jednej z dam
Co z takiej hojności słybie.

„A wstańże, wstań, paziku mój,
Koniowi daj owsa i siana!
„Ile mi tylko wystarczy sił,
Chcę mego obsłużyć pana!“

I siana wzięła pod pachę snop,
Do ręki zaś wzięła zboże,

I z tem do wielkiej stajni co tehu,
Pędzi, jak tylko może.

„O zróbcie miejsce rumaki me,
Do ściany ustąpcie się dalej,
Bo ten w mych bokach okrutny ból,
Snać mię na ziemię powali.“

O ścianę plecy oparła swe,
I ból się jej poczyną;
I wśród wielkiego rumaka nóg,
Burd Ellen powiła syna.

I Czajlda matka usłyszy to
I głos ten pójdzie od niej:
„Czajldzie Watersie, o wstańże, wstań,
Nie szukaj trzewika, ni spodni.

„Czajldzie Watersie! wstań“, woła, „wstań!
Snać kłatwa cię jakaś gniece.
W stajni twej jęczy jakowyś duch,
Albo też jakiejś kobiecie
Śród przeraźliwych trudów i mąk
Przychodzi na świat dziecię.“

I wstał Czajld Waters i pędzi w lot,
Bez spodni i bez trzewika,
W blaskach miesięcznych do stajni wrót
Przebiegłszy za niemi znika:

Gdy do stajni przybliżył się,
Ukrył się za wierzeje,
Burd Ellen bowiem usłyszeć chciał,
Jak jęczy tam, jak boleje.

A ona: luli, dzieciątko me,
Luli, o luli u mnie,

Królem niech ojciec zostanie twój,
A ja niech spoczne w trumnie!“

„Otwórz mi, otwórz Burd Ellen drzwi,
Otwórz mi stajnię zapartą,
Pragnę zobaczyć, czy koń mój syt,
Przypatrzeć się moim chartom!“

„Jakże ja mogę otworzyć, jak?
Nie mogę przenigdy na świecie!
Przecież wśród końskich ja leżę nóg,
A na mem łonie twe dziecko.“

Nogą uderzył w stajenne drzwi,
Kolanem podważył srodze,
Żelazne zamki strzaskał na gruz
Rozrzucił je po podłodze:
„O nie trwóż mi się, ma Ellen!“ rzekł
To tylko ja przychodzę!“

„O, jedną prośbę do ciebie mam,
Czajldzie Watersie młody:
Niech z twego domu najlichsza z służ
Przyniesie mi szklanę wody.“

I on lubego synaczka wziął
I w mleku wykąpie to swoje
Dziecię, a panią ubierze wnet
W kosztowne, w jedwabne stroje.

„Uspokój-że się, Burd Ellen“, rzekł,
Niech twoja troska przeminie:
Jedno i drugie, wywód i ślub,
W jednej się spełnią godzinie.

CZAJLD MORIS.

Czajld Moris w Las Srebrny poszedł na łów,
Gwiżdże i śpiewa z zapalem:

„Widzę niewiastę tę, którą już
Od dawien dawna kochałem.“

I pacholęciu swojemu rzekł:
„Nie widzisz, co widzę ja, Dżonie:

Widzę niewiastę, co dawno już
Miłością ku mnie płonie.“

Powie: „Chodź, Dżonie, pacholku mój,
Na drogę masz strawne i grosze,
Do żony Dżona Stewarda idź,
Pięknie ją pozdrów, proszę.“

„Tyle ją razy pozdrowić masz,
Ile ok bywa w sieci,
Lub ilu kupców w londyński gród
Na kupno i sprzedaż leci.“

„Tyle ją razy pozdrowić masz,
Ile znieść serce wydola,
Lub bakalarskich ile ma dusz
Z inkaustem i piórem szkoła.“

„Jest rękawiczka“, tak powie mu
„Srebrzystem futrem obszyta:
Każ jej, niech w Srebrny przybędzie Las,
O Czajlda Morisa zapyta.“

„A tu masz pierścień, pierścień“ tak rzekł,
„Pierścień z kosztownym klejnotem,
On ją przyzywa w ten Srebrny Las,
A ona niech mileży o tem.“

„Miły mi, panie, jest rozkaz twój,
Lecz miłsze jest moje życie!
Do Dżona Stewarda dworu mam iść,
I żonę mu porwać skrycie?“
„Czy ci nie daję strawy“, tak rzekł,
„Czy cię grosiwem nie darzę?
Jakże powstrzymać chcesz rozkaz mój,
Jeżeli biec ci ja każę?“
Raz zwalniał kroki pacholik Dżon,
To znowu na bieg się wysili,
Przybył pod Dżona Stewarda dwór,
Nie odpocząwszy ni chwili.
O odźwiernego nie pytał się,
Przez hale mknął i pokoje;
Ujrawszy żonę Stewarda rzekł:
Złej, Boże, te łaski ci swoje!
„Od Czajlda Morisa przychodzę tu,
W poselstwie przychodzę ku tobie;
Czajld Moris pięknie pozdrawia cię,
I ja to samo robię.
„Tyle cię razy pozdrowić mam,
Ile ok bywa w sieci,
Lub ilu kupców w londyński gród
Na kupno i sprzedaż leci.
„Jest rękawiczka“ tak rzekł mi on,
„Srebrzystem futrem obszyta:
Każ jej, niech w Srebrny przybędzie Las,
O Czajlda Morisa zapyta.“
„A tu masz pierścień, pierścień“, tak rzekł,
„Pierścień z kosztownym klejnotem,

On ją przyzywa w ten Srebrny Las,
A ona niech milczy o tem.“
„Milcz, milcz-że, Dżonie, pachole ty,
Na rany Chrystusa wraże;
Gdy to usłyszysz małżonek mój
Powiesić cię rozkaże!“
Naprawdę daje oczami znak,
Naprawdę tupie nogą,
Czyni i mówi jak sama chce,
Sił niema co wzruszyć go mogą. —
„Do pokojowej przyszedłeś mej,
Lecz żadną miarą do mnie!“
„Do Dżona Stewarda małżonki-m szedł,
W tobie ją widzę przytomnie.“
Wtem chytra niańka odezwie się,
Z małym dzieciątkiem u łona:
„Od Czajlda Morisa jeśli jest on,
Rzecz dla mnie upragniona.“
„To kłam jest, niańko, to kłam, to kłam,
Kłam, ci to jest skończony:
Do Dżona Stewarda małżonki-m szedł,
W tobie nie widzę tej żony.“
Na to się porwie lord Steward Dżon,
A z gniewu wielkiego słynie;
„Myślałem sobie: na cały świat
Mnie ona kocha jedynie.“
I nogą ciężki przewrócił stół,
Strzaskał go swemi kolany,
Srebro połamał na kupę szczerb,
Misy i roztruchany.

Masztelarzowi dał rozkaz ten:
„Niech koń mój gotowy stoi,
A pokojowiec przyniesie mi
Suknie małżonki mojej.“
Hollandzką na się koszulę wziął,
I płaszcz jej pełen krasy,
Rzemień zarzucił na plecy swe,
I w Srebrne pomknął Lasy.
A kiedy w Srebrny przygonił Las
Z nikim nie zetknął go losy,
Tylko Czajld Moris siedział na pniu
Czesał swe żółte włosy.
Czajld Moris siedzi i w Srebrny Las
Gwizdże i śpiewa z zapalem:
„Widzę niewiastę, którą już snąć,
Od dawien dawna kochałem.“
Potem Czajld Moris wstał, aby pójść,
Zesadzić matkę z rumaka;
„O nigdy matka“, Czajld Moris rzekł,
„Nie była tęga taka.“
„Nie dziw“, rzekł Steward, „iż pani ma
Tak ciebie umiłowała,
Nad ten twój trzewik czarniejsza jest
Najmiększa biel mego ciała.“
Dżon Steward mieczyk niewielki miał,
Wyciągnął go i w gniewie,
Czajlda Morisa głowę nim ściął,
Zwłoki powiesił na drzewie.
I głowę nadział na miecz ten swój.
I spozierając na nią,

Pędził ze śpiewem pod zamku mur,
By spotkać się z swoją panią.
A skoro żonę zobaczył w dal,
Z za muru patrzącą, wtedy
Rzucił jej głowę i rzekł jej: „weź
Tę piłkę w objęcia swe Lady“!
„Czajlda Morisa głowy czy twe
Nie rozpoznają źrenice?
Całuj i pieść ją! więcej niż mnie,
Jego kochałaś lice!“
Czajlda Morisa ujrzawszy skroń,
Jednem li słowem zastęka:
„Jedno to dziecię zrodziłam ja,
Dziś je zabiła twa ręka.“
Skrwawioną głowę podniesie wnet,
Od lic ją całuje do brody:
„Tak ongi we mnie Czajld Moris tkwił,
Jak w kwiatach głogu jagody.“
„W matki go mojej przyniosłam dom,
Cnotliwie i wstydliwie,
Potem w zielony zaniiosłam las,
Po deszczu skropionej niwie.“
I raz całuje tę jego skroń,
To się nad brodą rozrzewni,
„Drożysz mi, Czajldzie Morisie mój,
Niż wszyscy królewscy krewni.“
„Gorze ci, gorze“, Dżon Steward rzekł,
„I gorze dla niego, gorze!
Gdybym był wiedział, że to twój syn,
Nie zabiłbym go w borze.“

„Żli moi ludzie są wszyscy,” rzekł;
„Daję im chleb i pieniądze;
Wszak mogli w złości powstrzymać mnie
Krwawe poskromić żądze.”

HUGO Z LINKOLNU I CÓRKA ŻYDOWINA.

Z Linkolnu młódź, z pięknego miasta,
W piłkę się bawi wesoło;
Luby pan Hugo przyszedł ku nim
I wszystkich zmógł wokoło.

Kopnął swą piłkę prawą piętą,
Przerzucił przez kolana,
Aż wpadła w okno żydowina,
Ta piłka podrzucana.

Do żydowina zamku poszedł,
I gdy obchodził mury,
Ujrzał patrzącą poprzez okno,
Postać żydowskiej córy.

„Wyrzuć mi piłkę córko żyda,
Wyrzuć mi piłkę,” rzecze,
„Nigdy!” odpowie córka żyda,
„Przyjdź raczej do mnie człeczce.”

„Jakże przyjść mogę, jak przyjść mogę,
Jakże przyjść mogę k'tobie!
Nie poważę się bez mych druhów,
Bez nich ja tego nie zrobię.

Do żydowina poszła sadu,
Gdzie trawa zielona rośnie,
Czerwonobiałe zerwie jabłko,
By uwieść go miłośnie.

Przez ciemne wrota go powiedzie,
Potem ich dziewięć minie,
Do gotowego wiedzie stołu,
Zakłuje go jak świnię.

Wprzód gęsta, gęsta krew pociekła,
A potem sączy się rzadka,
A potem z serca krew się toczy
Aż do samego ostatka.

I ona giezłem ołowianem
Otuli ciche zwłoki,
Wrzuci do studni Panny Marji
Pięćdziesiąt sążni głębokiej!

Po mszy skończonej zmiłkły dzwony,
W dom dziatwa powraca miła,
Jedynie tylko pani Helena
Swojego syna straciła.

I ona bierze płaszcz na siebie,
Tobolek do ręki bierze,
Idzie i syna i szukać zaczyna
Przez ścieże i rozścieże.

Do żydowskiego pójdzie zamku,
Gdzie sen go zmógł niezłomnie,
I woła: „Hugo! luby Hugo!
Błagam cię, przemów do mnie!”

Do Panny Marji poszła studni
I padłszy na kolana,
Woła: „Mój Hugo! przemów do mnie,
Przemów, dziecińco kochana.”

„Dziwnie jest ciężki ołów matko,
Dziwnie głęboka studnia;

Mały scyzoryk tkwi w mem gardle,
Przemawiać mi utrudnia!

„Wróć do dom, wróć-że matko droga,
Śmiertelną spraw koszuli,
A tam w Linkolnie o poranku
Do ciebie się przytulę!

Wróciła do dom pani Helena,
Śmiertelnej się jąć koszuli,
I wnet w Linkolnie o poranku
Zewłok się do niej tuli.

Bez ludzkich rąk dzwoniły w Linkoln
Dzwony każdego chrama;
Szeptala każda księga w Linkoln
Bez ludzkich języków sama.
Nie znany był ci pogrzeb taki
Od pierwszych dni Adama.

PAN TOMASZ I PIĘKNA ANNETA.

Pan Tomasz z piękną Annetą siadł,
Na wzgórzu siadł i bez końca
Wiodą rozmowę, choć dawno już
Noc przyszła i zagaś blask słońca.

Pan Tomasz swywolnie powiedział jej —
Annetę nadobną to boli:

„Kobiety ja sobie nie wezmę, nie,
Wbrew mych przyjaciół woli.“

„Jeżeli ty jej nie zechcesz wziąć,
Nie weźmie ciebie i ona.“

Pan Tomasz pójdzie do matki swej
I klęknie u jej łona:

„Radź, matko“ woła, „o radź mi, radź,
Bo nie wiem, co czynić, niestety.
Czy mam poślubić czarnulę tę,
I zrzec się nadobnej Annety?“

„Czarnula złoto i stroje ma,
Anneta z ubóstwa słynie,
A jakże prędko przechodzi ach!
Tę trochę piękności w dziewczynie!“

Potem do brata on udał się:
„Nie wiem, co czynić, niestety;
Czy mam za żonę tę czarną brać,
I zrzec się nadobnej Annety?“

„Ta czarna, konie, mój bracie ma,
Ta czarna swe krowy posiada,
Porzuć Annetę, czarnulę weź,
Ta jest dla ciebie ma rada.“

„Jej konie będą w stajni się paść,
Jej krowy, mój Billie, w oborze,
A dla mnie, prócz chleba kawałka, cóż
W mym domu czekać mnie może?“

I potem się zwrócił do siostry swej:
„Nie wiem, co czynić, niestety,
Zali poślubić tę czarną mam,
I zrzec się nadobnej Annety?“

„Radzę, Tomaszu Annetę bierz,
A czarną poniechaj mój drogi,
Abyś nie wdychał, nie jęczał wciąż,
Kogo to wwiodłeś w swe progi.“

„O nie! posłuchać ja matki chcę,
Szukać nie będę już żony;

Poślubić czarną ja wolę mam,
Anneta niech rzuci te strony.“
Z posłania ojciec Annety wstał,
Na dwie godziny przed zorzą,
I do komory udaje się,
Annetę obudzić hożą.
„Wstań, wstań ma nadobna Anneto, wstań,
W jedwabne się ubierz szaty:
Do „Panny Marji“ pojedziem dziś,
Zobaczyć ślub bogaty!“
„Chodźcie tu do mnie, o dziewczki me,
Weźcie się do roboty,
Rozczesać trzeba co tchu mój włos,
Powiązać w piękne go sploty.
Chodźcie tu do mnie o dziewczki me,
Przynieście mi koszulę,
Z hollenderskiego płócienka jest
A reszta same tiule!“
Z piękną Anneta pomykał koń,
Jak wicher z taką ochotą,
Z przodu srebrzystą podkowę miał,
Na tylnych nogach złotą.
Cudnych pacholat dwadzieścia pięć,
Pędziło obok Annety,
I pięć i dwadzieścia uroczych dziew,
Jakby na ślubne fety.
A kiedy weszła do „Panny Marji“
Siadła na stopniach ołtarza:
Tej przenadobnej Annety strój
Żrenice wszystkich rozżarza.

Gdy przekroczyła kościoła próg,
Błyszczała jak blaski słońca,
Pas naokoło kibici jej
Był jakby z pereł bez końca.
I obok czarnej usiadła tam,
Blask cudny oko jej czyni;
Pan Tomasz zapomniał o tamtej wnet,
Ujrawszy Annetę przy niej.
I pocałował trzykrotnie on
Różę, co trzymał ją w ręce,
Potem Annecie położył ją
Na jej kolana dziewczęce.
A kiedy czarna ujrzała to,
Z wściekłością powie niemałą;
„A skądże tę wodę różaną masz,
Co czyni ciebie tak białą?“
„Mam ci ja wodę różaną, mam,
Tobie nieznaną jest ona,
Bo ja tę wodę różaną, wiesz
Przyniosłam z matki łona!“
A czarna długą iglicę wnet,
Z włosów swych zdradnie dobywa,
Serce Annety przesyje nią,
Że ta upada nieżywa.
Pan Tomasz widząc Annety twarz,
Pobladła, dlaczego, nie wie —
Lecz gdy z jej serca pociekła krew,
W ogromnym się zaciął gniewie.
I z pochew ostry wyciągnął miecz,
Tak ostry, tak tnący składnie,

W serce go czarnej odrazu wbił,
Że ta u stóp jego padnie.
„O czekaj na mnie, Anneto!“ rzekł,
„O czekaj w tej godzinie!“
I w serce swoje pchnął bystrą stal,
I u jej boku zginie.
Obok cmentarza pan Tomasz legł,
A ta we środku w grobie,
Tutaj zapłonął tarniny krzak,
Tam brzoza wyrosła sobie...
I tak chce liść do liścia iść —
Widzą to oczy moje,
Aby odrazu człek poznać mógł,
Iż to kochanków dwoje.

PANI IZABEL I RYCERZ — ELF.

*Rwie się ma chustka, moja chustka,
Rwie się daleko gdzieś za wzgórza,
Lecz do Norwegji mojej chustki,
Żaden mi wicher precz nie porwie.*
*Pani Izabel szyje w hali —
Przecudnie stokrocie rosną, —
Słyszy, jak rycerz elf na rogu
Gra w pierwszy ranek wiosną.*
Na wierchu rycerz elf spoczywa,
Głośno na rogu swym wygrywa,
Na wschód i zachód, na wsze pola,
Gra, jak mu tylko każe wola.
„Chciałabym róg ten mieć w swym[.....]
A zaś rycerza przy mem łonie.“

Ledwie zdołała rzec te słowa,
A rycerz w łożu jej się chowa.
„Jesteś“, tak powie on „za młoda“,
Żenić się zemną będzieć szkoda.“
„Młodsza jest moja siostra miła,
A ta się wczoraj ożeniła.“
„Jeżeli żenić chcesz się zemną,
Musisz mi sprawić rzecz przyjemną.“
„Musisz mi“ — rzecze do niej czule —
„Bez szwu i kroju dać koszulę.
Nożyc nie weźmiesz ni też nitek
By mi zgotować ten dobytek.
Prac ją zaniesiesz w oną fałę,
Co ros i deszczów nie zna wcale.
Na tarni będziesz suszyć sama,
Która nie kwitła od Adama.“
„Gdy się z tem wszystkim zwracasz do mnie,
I ja poproszę cię też skromnie:
„Między wybrzeżem a słonemi
Wody chce ojciec mój akr ziemi.
Ty go przeorać masz swym rogiem
I ziarnkiem pieprzu obsiać srogiem.
Zbronować jednym zębem brony,
Końskim piszczelem skosić plony.
Masz je do mysiej dziury rzucić
I w swoim kierpcu je wymłócić.“

Na swej je dłoni przewiej potem
Do rękawiczki wysp je lotem.
I czysto pięknie poprzez morze
Przynieś je ku mnie to swe zboże.
A gdy się skończą te rachuby,
Przyjdź po koszulę swą mój luby.“
„Chustki za życie nie dam skoro,
Prócz z żoną dziatwy mej siedmioro.“
Wiatr mojej chustki mi nie porwie,
„A ja dziewictwo swe udzierzę,
Niech co chcą elfów ci rycerze“ —
Wiatr mojej chustki mi nie porwał.

PIĘKNA ROZAMONDA.

Gdy władcą u nas król Henryk był
(Drugi takiego nazwiska),
Oprócz królowej, miał damę on,
Co wielce mu była bliska.
Nieporównany jej wdzięk i czar —
Gdzież taką twarz znajdziecie?
Milszej istoty znać żadnej kneź
Nie miał na naszym świecie.
Każdy, kto widział jej kręty włos,
Miał złota pęk przed sobą,
Jak perły wschodu, tak oczy jej
Niebiańską lśniły ozdobą.
Jej nieskalanych policzków krew,
W takim tonęła kolorze,

Jakby z lelują różany kwiat,
W ciągłym się wadził sporze.
O Rozamond! o Rozamond!
Tak zwała się ta pani,
Zaś nad królową Ellinor gdzież
Wróg jest zażartszy dla niej?!

Dlatego król nasz, by bronić jej
Przeciw wściekłości królowej,
Taki jej w Woodstocke postawił dwór,
Że niema o równym mowy.
Z głazów i cegieł wzniesiono gmach,
Najpiękniej i najrozrzutniej:
Do jego wnętrza wchodziło się
Przez stopięćdziesiąt wrótni.
A takie sztuczne ten pałac jej
Zawory miał i zamki,
Że tylko dziwnie kręcony klucz
Pozwalał jąć się klamki.
Dla miłośnicy i dla jej pań
Dwór był świetlisty i świeży,
A zasię nad nim sprawował straż
Jeden z walecznych rycerzy.
Ale Fortuna, co często w gniew
Uśmiechy przemienia swoje,
Rozkosze królów i radość pań
Zwodzi i zsyla im znoje:
Że za ich dobro niewdzięczne jest
Dla królów ludzkie plemię,
Przeciwko ojcu swojemu bunt,
Francuskie podniosły ziemie.

Ale nim jeszcze nasz piękny król
Angielskie rzucił lądy,
Poszedł się żegnać; do pani swej
Do cudnej Rozamondy.
„O Rozamondo, ty rózo ma,
Najmilsza mojemu oku,
Tyś najcudniejszy na świecie kwiat,
U swego żywiący mnie boku!
O, mego serca ty kwiecie mój,
Wonny i piękny bez skazy,
Królewska Rózo, dziś żegnam cię,
Żegnam po tysiąc razy.
Muszę porzucić mój cudny kwiat,
Mą najmilejszą Różę,
Do słynnej Francji mknę głębią mórz,
Uśmierzać bunty służyć.
Ale bądź pewna, o Rózo ma,
Że wrócę tu niebawem,
Aż dotąd będę ja nosił wciąż
Mą Różę w mem sercu prawem.“
Gdy Rozamonda, ten wykwit pań
Królewskie usłyszy słowa,
Odrazu spojrzy oczami jej
Troska, co w łonie się chowa.
Z jej kryształowych przejasnych ócz,
Łzy jej popłyną na lice,
Jak srebrne perły porannych ros,
Tak lśnią się jej źrenice.
Zbladły odrazu, spękały się,
Czerwone ust jej korale,

Żywotny czuje, zanika duch,
Tak niszczą go troski i żale.
Przy królu wraz w ten żegnań czas,
Upadnie, skonu snąć bliska,
A ten jej ciało w książęce swe
Objął ramiona i ściska.
Głaszcze jej twarz ten władca nasz,
Całuje razy dwadzieście,
Aż wszystkie zmysły powrócą znów
Onej nadobnej niewieście.
„Czego się smucisz ty Rózo ma?“
Pyta się król i pyta.
„Bo pan mój idzie na krwawy bój“,
Odpowie, żalem okryta.
„Lecz gdy Twa Łaska na cudzy brzeg
Pomiędzy wrogi swe jedzie,
By swój wystawić żywot na szwank,
Cóż ja tu zrobię w mej biedzie?
Nie, raczej pozwól, bym, jako paż,
Za tobą nosiła zbroję,
Niechże padają razy w mą pierś,
A nie zaś w ciało twoje.
Albo mi pozwól zaścielać ci
Nocą twe łożo w namiocie,
Gotować kąpiel, gdy wrócisz znów
Po swej wojennej robocie.
Tak ci ja będę pociechą twą,
W żadną nie spocznę ja porę,
Bez ciebie śmiercią ten żywot mój,
Nie! raczej śmierć ja wybiorę“.

„Najdroższa moja, o siebie dbaj!
Tutaj pozostań rada,
W tej pięknej Anglii, gdyż podróż ta
Tobie nie odpowiada.
Nie krwawych trzeba niewiaśtom walk,
Łagodny spokój je cieszy;
Nie twardy obóz, lecz dworny dwór,
Godzien niewieściej rzeszy.
Tu przy muzyce ma pędzić dni,
Ma Róża, od trosk daleka,
Ja za to będę wśród ostrych dzid,
Patrzył, jak wróg ucieka.
W perłach i złocie niech Róża ma
Lśni, ja zaś w zbroi twardej,
Ja z swymi wrogi będę się bił,
Ona niech tańczy galardy!
Panie Tomaszu mą Różę ja
Powierzam twojej opiece;
O me kochanie troskliwie dbaj,
Gdy ja stąd precz już ulecę.“
I taki z siebie on wydał jęk,
Że pierś mu pęknać gotowa.
I Rozamondę zdjął równy ból —
Nie mogła rzec ni słowa.
Ogromną męką w odjazdu czas
Była ich dusza wezbrana,
I Rozamonda już po tym dniu
Swojego nie ujrzy Pana.
A kiedy król z ojczystych pól
Do Francji szedł, wnet skora,

Zawistna w Udstok zjawiła się
Królowa Eleonora.
I sobie wnet, w nieszczęsny czas
Rycerzy wiernych zyszcze,
Którzy, kręcony posiadłszy klucz,
Świetne otworzą dworzyszcze.
Tak zagarnąwszy je w swoją moc,
Królowa wtargnąć zdoła,
Tam, gdzie siedziała ta Rozamond,
Podobna do anioła.
A gdy królowa niezmienny wzrok
W oblicze jej utkwiała,
Duszę jej wielki ogarnął dziw
Na takich uroków siła.
„Zrzuc z siebie“, rzekła, „kosztowny strój,
Te suknie zrzuc bogate,
Wypij ten trunek, który tu dziś,
Na twą przyniosłam zatrąę.“
I na kolana upadła wnet
Nadobna Rozamonda
I przebaczenia za wszystko zło
Od tej królowej żąda.
„Zlituj się, zlituj mych młodych dni!“
Tak Rozamonda ją błaga,
„Niech śmiertelnego jadu twa dłoń
Odsunąć się nie wzdraga!
Grzesznego życia wyrzeknę się
I zamknę się w klasztorze,
Lub na wygnanie w szeroki świat
Sąd twój mię skazać może.

I za me winy, choć to był mus,
Za wszystkie moje przywary
Daruj mi życie, a, jakie chcesz,
Inne mi wymierz kary!"

I po tych słowach i wciąż i wciąż
Łamie swe ręce przed nią.
I swą uroczą, nadobną twarz
Łzą zlewa niepoślednią.

Ale już zmiękczyć nie mogło nic
Królowej twardego serca;
Podaje puhar, w puharze jad,
Który człowieka uśmierca.

Wzięła go piękna pani do rąk
I swe podniósłszy kolana,
Przed nią, trzymając ten kubek zły,
Stała wyprostowana.

I ku niebiosom podniósłszy wzrok,
O litość błagała Boga,
Potem wypije trujący płyn:
Skończyła się jej droga.

A gdy patrzono jak członki jej
Śmierć już na zawsze rozkłada,
Musiał największy zgodzić się wróg,
Iż to niewiasta nielada!

W Udstok gdy żywot opuścił ją,
Grobowe znalazła łożo,
Obok Oksfordu, gdzie do dziś dnia
Każdy je widzieć może.

SPOWIEDŹ KRÓLOWEJ ELEONORY.

Odczuwa trwogę, iż umrzeć ma,
Albowiem wielce jest chora,
I po dwóch mnichów do Francji szle
Królowa Eleonora.

Swoich wielmożów przyzywa król,
Jednego, dwóch i trzech w rzędzie:
Ja wypowiadam królowę sam,
Marszałek mi świadkiem będzie!"

„Łaski, o łaski!“, marszałek rzekł,
I to, klęczący, doda:
„Cokolwiek zezna królowa dziś,
Niech mnie nie spotka szkoda.“

„Mój kraj, me berło“, zawoła król
Koronę moją zastawię,
Że co dziś padnie z królowej ust,
Twej nie zaszkodzi sprawie.

Idź i na siebie strój mniszy wdziej
I ja też pójdę za tem
I do królowej udamy się,
Jak mnich z zakonnym bratem.“

Kiedy do Whithall przyszli ci dwaj,
W kaptur ukrywszy lice,
Zadzwoił dzwon, brzmiał pieśni ton,
Świeciły się gromnice.

A przed królową stanąwszy tam,
Upadli na kolana:
„Łaski, o łaski! Przez ciebie k'nam
Pospieszna wieść przysłana.“

„Jesteście z Francji“ odpowie im,
„Bo tak przypuszczam przecie,
Lecz jeśli księża angielscy wy,
Na drzewie zawiśnięcie!“

„Nie! Myśmy z Francji mnichowie dwaj,
Jak to przypuszczasz święcie:
Od morza z woli idziemy twej,
Przybywszy na okręcie.“

„Z wszystkich mych grzechów, mój pierwszy
grzech —

Wyznam go szczerze całkiem:
W tym złotym stroju dziewictwo swe
Straciłam z hrabią marszałkiem.“

„Grzech to haniebny“, powiedział król,
„Na łaskę zdaj się boską!“
I „amen! amen!“ marszałek rzekł,
Lecz z ciężką w sercu troską.

„Drugi przezemnie spełniony grzech,
Który mnie tak dotyka,
To ten: trucizny nalałam w kruż,
By otruć króla Henryka.“

„Grzech to haniebny“, powiedział król,
„Niech Bóg ci go przebaczy!“
I „amen! amen!“ marszałek rzekł,
„I ja nie życzę-ć inaczej.“

„A zasię trzeci występek mój,
Który przed wami otworzę
I Rozamondę zabił mój jad
W Woodstockim pięknym dworze.“

„Grzech to haniebny“, powiedział król,
„Niech Bóg ci go przebaczy!“
I „amen! amen!“ marszałek rzekł,
„I ja nie życzę-ć inaczej.“

„A czy widzicie — ten chłopiec tam
Co piłkę podrzuca z ziemi?
Hrabiego marszałka najstarszy syn,
Kocham go nad wszystkimi.

A czy widzicie — ten chłopiec tam,
Co się ją łapać trudzi?
Króla Henryka najmłodszy syn,
Najmniej go kocham z ludzi.

Głowę ma taką jak istny byk,
Nos zasię jak u dzika!“
„Przestań“ król krzyknie „dlatego on
Tembardziej w serce mi wnika.“

Król zrzucił z siebie zakonny strój,
I stanął cały w czerwieni,
Ta łamie ręce i z trwogi w krzyk,
Być się zdradzoną mieni.

I król z ukosa spojrział i rzekł:
„Czy pan marszałek nie wie?
Gdyby nie moja przysięga dziś,
Wisiałbyś już na drzewie!“

CÓRKA HRABIEGO MARA.

Miły to czas ten piękny dzień,
Gdy lato łśni naokoło;
Hrabiego Mara córka w tym dniu
Poszła się bawić wesoło.

A gdy tak igra, tak bawi się,
Przy dębu zieleni świeżej,
Gołąbka ujrzy, jak grucha rad,
Siedzący w górze, na wieży.

„Gołąbku mój, posłuchaj, stój,
Zleć ku mnie, zleć tu z ochotą,
A miast zwykłego drzewa, ja dam
Klatkę ci szczerozłotą.

„Złote zasłony mieć będzie w niej,
Srebro cię wokół otoczy;
Chcę, abyś jaśniał, jak żaden ptak,
Ludzkiemi widziany oczy.”

I nie dokończy jeszcze swych słów,
Jeszcze ich nie dopowie,
Gdy z wieży sfrunął gołąbek ten,
I usiadł na jej głowie.

I do komnatki weźmie go swej,
Takim go blaskiem otoczy,
Że tak on jaśniał, jak żaden ptak
Ludzkiemi widziany oczy.

Gdy minął dzień i noc już szła,
W swoim wieczornym mroku,
Pani ta ujrzy, jak młodzian wraz
Przy jej się zjawił boku.

„Skądś to przyszedł, młodzianie mów,
Dziwię się temu srodze,
Dobrze zamknięte są wrota me,
Na jakiejś to przyszedł drodze?”

„Powstrzymaj język nie pytaj się,
Zostaw to pani, miła;

Czy nie pamiętny ci gołąb ten,
Gdyś się pod drzewem bawiła?”

„O z jakich,” rzekła, „przychodzisz stron,
Z jakiego zrodzonyś łoża?”

„Przybyłem dotąd, w tym właśnie dniu
Poprzez dalekie morza.

„Matka ma żyje wśród obcych wysp,
Królową jest wielkiej miary,
Abym żył z tobą, w gołębia mnie
Zmieniły matki mej czary!”

„Gołąbku mój, posłuchaj, stój!
Nie pójdziesz stąd kochanie!”

„Nie mój to zamiar, o luba ma,
Jak mówisz, tak się też stanie.”

Sześć lat z nią przeżył i jeden rok
Wśród jej wesołych komnatek,
I sześciu synów powiła mu,
Siódmego na ostatek.

Lecz ile razy przyszła na świat
Dziecina, w tym samym czasie
Pod swej ją matki opiekę niósł.
Tak prędko, jak tylko da się.

A kiedy siedm przeżył z nią lat
I więcej razem w jej dworze,
Przyszedł o rękę starać się jej
Wielmoża nad wielmoże.

Lecz ona ciągle odtrąca go,
Odrzuca jego dary,
Mówi, że tylko z gołębiem żyć
I jemu dochować wiary.

Strasznie jej ojciec zaklinał się,
Od pana mówiąc do pana,
Że jeść nie będzie, nie będzie pił,
Aż ptaka zabije z rana.

I w klatce swojej siedząc, ten ptak
Słyszy, co ten tam powiada,
I mówi: „Dłużej pozostać tu
Nie mogę, o biada mi, biada!”

Potem ten gołąb-gruchawiec w świat,
Pofrunął het poza morze,
I na wieżycy złocistej siadł
Przy swojej matki dworze.

A matka jego przechadza się,
I patrzy, co ujrzy oko,
I oto widzi: młody jej syn
Siedzi na wieży, wysoko.

„Chodźcie zatańczyć, tańczyć, hej!
Chodźcie mi zagrać, minstrele!
Florentyn, syn mój, powrócił w dom,
Już pozostanie w swem siele.”

„Nie dajże tańczyć, o matko ma
I niech nie grają minstrele!
Bo matka siedmiu synaczków mych
Ma dzisiaj rano wesele.”

„Powiedz mi szczerze o powiedz mi,
Powiedz mi, Florentynie,
Otwarcie mów, bez próżnych słów,
Co ja dla ciebie uczynię?”

„Zamiast minstrele, o matko ma,
Zamiast tańce i tany,

Dwudziestu czterech junaków zmień
Na szaropióre bociany.”

Na to królowa odpowie mu:
„O, mnie się rzecz ta nie uda!”
Ale mu starą niewiastę da,
Która zna lepiej te cuda.”

Zamiast minstreli grający chór,
Zamiast tańczyć i tany,
Dwudziestu czterech junaków wnet
Na szare zmieni bociany.

W łabędzie zmieni mu synów siedm,
Ażeby z niemi latały,
Z niego zaś hyrny staje się ptak,
Staje się jastrząb wspaniały.

I ptactwa tego gromada mknie,
Za szalejące morze,
Ażeby usiąść na każdym z drzew,
Przy Mara hrabiowskim dworze.

Był ci ten ptactwa wesół klucz
Widokiem nad widoki:
Zdumiony patrzył na niego lud,
Na jego tańce i skoki.

Zleci się ptactwo ze wszystkich drzew,
Snać się rozsiędzie we dworze,
Z ogromną siłą wtargnęło wnet
Między zebrane wielmoże.

Bić się ni wyrwać weselny gość
Nie mógł z bocianów kłębu;
Pana młodego łabędzi siedm
Przyparło odrazu do dębu.

Na druchny ptactwo rzuciło się,
Potem na pannę młodą.
Okoś przymrużył, a juści ją
Ptakowie z sobą uwiodą.

Od sześćdziesięciu i więcej lat
Widziano różne wesola,
Ale na takim ślubie, jak ten,
Nikt a nikt nie był zgoła.

I nikt poradzić nie mógł tu nic,
Widziały tylko żrenice,
Jak wesołego ptactwa zbór
Porwał oblubienicę.

EDWARDZIE! EDWARDZIE!

Jakiż ci miecz ten zakrwawił bój,
Edwardzie, Edwardzie?

Jakiż ci miecz ten zakrwawił bój,
Czemu cię troska tak gniecie? O!
Sokoła-m zabił, padł sokół mój,
Matko, matko;

Sokoła-m zabił, padł sokół mój,
Drugiego gdzież wy znajdziecie? O!

Nie tak czerwony był, krwi jego zdroj,
Edwardzie, Edwardzie!

Nie tak czerwony był krwi jego zdroj,
To ci powiadam me dziecię! O!

Gniadoszam zabił, padł gniadosz mój,
Matko, matko!

Gniadoszam zabił, padł gniadosz mój,
Gdzież rumak tak piękny na świecie? O!

Rumak był lichy, miał dużo lat,
Edwardzie, Edwardzie!

Rumak był lichy miał dużo lat,
Edwardzie, Edwardzie!

Inny cię smutek dziś gniecie. O!
Zabiłem ojca, mój ojciec padł,
Matko, matko!

Zabiłem ojca, mój ojciec padł,
Straszliwie jest mi na świecie. O!

Jakąż chcesz karę znieść, jaki trud,
Edwardzie, Edwardzie?

Jaką chcesz karę znieść jaki trud,
Powiedz najdroższe me dziecię? O!

Za morze popłynę, za krańce wód,
Matko, matko!

Za morze popłynę za krańce wód,
Łódź czeka już na mnie, czy wiecie? O!

Cóż z twą dziedziną? Cóż z zamkiem twym,
Edwardzie, Edwardzie?

Cóż z twoją dziedziną? Cóż z zamkiem twym,
Przepiękne grodziszcze to przecie! O!

Na pastwę ja losu zostawię go złym,
Matko, matko!

Na pastwę ja losom zostawię go złym,
Nie ujrzę go nigdy już w świecie. O!

Cóż będzie z twą dziatwą, cóż z żoną twą, mów,
Edwardzie, Edwardzie!

Cóż będzie z twą dziatwą, cóż z żoną twą, mów,
Gdy pójdziesz za morze, me dziecię? O!

A niech się po żebrach wywłóczy ten chów,
Matko, matko!

A niech się po żebrach wywłóczy ten chów,
Niech żebra bezemnie po świecie! O!

A cóż drogiej matce zostawisz ach!
Edwardzie, Edwardzie?

A cóż drogiej matce zostawisz? ach!
Odpowiedz najdroższe me dziecię. O!
Przekleństwo piekielne! Giń w trwodze i łzach,
Matko, matko!
Przekleństwo piekielne! Giń w trwodze i łzach,
Tyś poradziła mi przecie! O!

LORD RANDAL.

O, gdzieś to bywał, lordzie Randalu, mój synu?
O, gdzieś to bywał, piękny młodzianku ty mój?
W lesie-m był dzikim, matko, przygotujże mi posłanie,
Łowy mię umęczyły, rad się położę na nie.

A gdzieś ty obiadował, lordzie Randalu, mój synu?
Gdzieś to obiadował, piękny młodzianku ty mój?
Jadłem u mojej lubej, matko, przygotuj posłanie,
Łowy mię umęczyły, rad się położę na nie.

A gdzieś to wieczerzał, lordzie Randalu, mój synu?
A gdzieś to wieczerzał, piękny młodzianku ty mój?
Węgorza jadłem w sosie, przygotuj matko posłanie,
Łowy mię umęczyły, rad się położę na nie.

Co stało się z twemi gończemi, lordzie Randalu, mój synu?
Co stało się z twemi gończemi, piękny młodzianku ty mój?
Obrzękły i zdechły; przygotuj mi matko posłanie,
Łowy mnie umęczyły, rad się położę na nie.

Lękam się, że cię otruto, lordzie Randalu, mój synu!
Lękam się, że cię otruto, piękny młodzianku ty mój.

O prawda! Tak, jestem otruty; matko przygotuj posłanie,
Bo serce moje jest chore, rad się położę na nie.

DUCH LUBEGO WILLIAMA.

Do Margarety drzwi przyszedł duch,
Tak jęczy, wzdycha i biada,
Chwyta za klamkę, otworzyć chce,
Lecz ona nie odpowiada.

Czy to mój ojciec Filip,
Czy to jest brat mój Dżon?
Czy też mój wierny Willie
Z szkockich powraca stron?

To nie twój ojciec Filip,
Ani też brat twój Dżon,
To twój kochanek Willie
Z szkockich powraca stron.

„Luba Margreto, droga Margreto!
O, proszę, przemów do mnie:
Oddaj mi wiarę, Margreto ma,
Jak jam ci ją dał niezłomnie.“

„O ja nie oddam ci wiary twej,
Spodziewasz się daremnie!
Wejdz do mej izby, pocałuj mnie,
A zyskasz ją odemnie!“

„Jak ja do izby twej mogę wejść,
Kiedym nie z tego świata?
A gdy zcałuję róże z twych warg,
Skończą się wnet twe lata!“

„Luba Margreto, droga Margreto,
O proszę, przemów do mnie!

Oddaj mi wiarę, Margreto ma,
Jak jam ci ją dał niezlomnie.“

„O ja nie oddam ci wiary twej,
Twa prośba jest daremną,
Chyba, że pójdziesz na cmentarz ten,
Pierścieniem sięłączysz ze mną.“

„Poza morzami jest cmentarz mój,
Tam są me kości w grobie,
Tutaj Margreto, tylko mój duch,
Zwraca się dziś ku tobie.“

I wyciągnęła liljową dłoń,
Snać dar mu daje serdeczny!
„Masz tu swą wiarę, o Willie mój,
Niech Bóg ci da spokój wieczny.“

Podgięła sobie zielony strój,
Do kolan go podkasala,
Aby pociągnąć długo, jak noc,
Śladem zmarłego ciała.

„Jest miejsce, Willie, przy boku twym?
Jest miejsce obok twej głowy?
Jest miejsce, Willie, u twoich stóp,
Spoczynek dla mnie gotowy?“

„Niema, Margreto, przy boku mym,
W głowach go niema u mnie,
Niema, Margareto, u moich stóp;
Dla mnie w sam raz jest w trumnie.“

Zerwał się, zapiał czerwony kur,
Zerwał się, zapiał szary:
„Czas, moja droga Margreto, czas
Wrócić mi na swe mary.“

Nic już Margrecie nie mówił duch,
Lecz niby mgława plama,
Ciężko wdychając, rozplynął się,
Margreta została sama.

„Nie odchodź, luby kochanku mój!“
Zawoła Margreta miła.
Wtem zbladły lica, zagaśł jej wzrok
I życie swe straciła.

STAROŻYTNA BALLADA O ŁOWACH W CZEWIOCIE.

Śpiew pierwszy.

Persy, Northumberlandu pan,
Zaprzysiągł się na Boga,
Że na trzydniowy powiedzie go łów,
W góry czewiowskie droga.
Pana Douglasa pohańbić chce,
I wszelakiego wroga.

„Najtłustszą“, mówił, „zwierzynę ja
Ubiję w Czewiocie!“
Na to pan Douglas: „O już ja kres
Położę twej ochocie!“

I wkrótce Persy z Banbarow szedł
Na czele mnogiej rzeszy:
Tysiąc i pięćset łuczników z nim
Z trzech hrabstw na łów ten spieszy.

Począł się w górach czewiockich on
W dzień poniedziałku, z rana;
Płakałby w matki żywocie płód,
Tak rzecz to opłakana!

Tłum naganiaczów przebiegał las,
Aby napędzać sztuki,
Strzelcy ku ziemi schylili się
Z łyskającymi łuki.

Zwierz potem z lasu wybiegać jął —
To stąd, to stamtąd się bierze,
W gęstwinie mignął nie jeden chart,
Aby się rzucić na zwierze.

Tak w Czewiocie poczał się łów,
Jak zwykle o rannej chwili,
Do popołudnia godziny zaś
Rogaczy stu ubili.

I otrąbiono wokół tę śmierć,
Zebrano wnet zwierzynę,
Przyszedeł pan Persy, bo widzieć on
Te łupy chciał jedyne.

„Obiecał Duglas,” tak powie im,
„Że dziś tu się spotka zemną.
Lecz nie! A zresztą przysięgę ja
Złożyłem nie daremną!”

Z Northumberlandu rycerza wnet
Ujrzały jego oczy:
To się pan Duglas ku niemu wręcz
Z mnóstwem narodu stoczy.

Miecze, topory, dzidy i łuk —
Widok to był straszliwy,
Podobnych bojów nie widział nikt
Śród chrześcijańskiej niwy.

Z dwadzieścia setek liczył ich tłum,
A wszyscy rycerni słudzy,

Jedni z nad Twidu wywodzą ród,
A z Tywidelu drudzy.

„Puście zwierzynę,” powiedział im,
„I co tchu łuki do siebie,
Bo odkąd matka zrodziła was,
Nikt w takiej nie był potrzebie!”

Wspaniały Duglas, siadłszy na koń,
Na czele hufców ruszy,
Jak ogień, pali się jego broń,
Niema mężniejszej duszy.

„Co wy za jedni,” tak rzecze im,
Lub czym tłum ten zwie się?
I któż wam kazał na przekór mnie
W czewiockim polować lesie?”

Pierwszy, co swą odpowiedź dał,
Był Persy, i tak mu powie:
„Co my, za jedni i czyj to tłum,
Mówić nam ani w głowie;
Na przekór tobie i wszystkich twym
Jesteśmy tu na łowie.

Zwierz w Czewiocie najtłustszy padł,
Zabierzem go z sobą w drogę!”
A na to Duglas: „Na duszę mą!
Ja wam pokazać ją mogę!”

Potem pan Duglas tak znowu rzekł
Do pana Persy’ego:
„Zabić tych ludzi to byłby grzech,
Ja nie uczynię tego.

Ale ty Persy, ty z panów pan,
I ja też hrabią się zowie,

Zostawmy lud nasz, do walki dwaj
Równi staniemy panowie.“
„Skarz tego, Chryste“, lord Persy rzekł,
„Komu to nie na czasie!
O nie dożyjesz takiego dnia,
Szlachetny mój Duglasie!
W Anglii ni w Szkocji ni w Francji — nie!
Niema takiego człowieka,
Przed którym Persy na taki traf
Z pola gdziekolwiek ucieka!“
Northumberlandzki rycerzyk zaś,
Widryngton, tak się wysłowi:
„Mamże ja z wstydem pokazać się
Królowi Henrykowi?
Wiem, że lordowie jesteście dwaj,
Ja zaś rycerzyk ubogi,
Nie chcę, ażeby mój pan się bił,
A ja ustąpił z drogi.
Nie! Pokąd mam jeszcze w ręku miecz,
Żadnej nie czuję trwogi!“
Ten dzień! Ten dzień! Ten straszny dzień!
Tu śpiew się kończy pierwszy;
Kogo zajmuje czewiocki łów,
Z dalszych go pozna wierszy.
Śpiew wtóry.
Naciągnął łuki angielski lud,
Były to mężne chłopcy;
Tamtych, gdy pierwszy zaświsnął belt,
Padło półtorej kopy.

Lecz hrabia Duglas odważny stał,
Wspaniały wódz nad wodze!
Prawdziwie: cóż to za widok był,
Gdy on tak kładł ich srodze.
Huf swój na części rozdzielił trzy
Pan Duglas wódz nieplony:
Ruszył się szereg potężnych dzid
I z tej i z tamtej strony.
Między angielskich łuczników tłum
Ran rozdzielono siłą;
Niejeden zginął i, widać, śmierć,
W dumę go już nie wbiła.
Porzucił łuki angielski człek,
I miecze chwycił w dłonie:
Piękny to widok jak jasność ich
W tem szkliwie przyłbic płonie!
Niejeden straszny rozstrzaskał cios
Pancerze i szyszaki,
Niejeden wówczas bez życia padł
Rycerz niebylejaki.
W końcu i Duglas i Persy wnet
Męstwem się swem pochwałą:
Uderzą na się ze wszystkich sił
Mediolańską stalą.
Starli się z sobą ci męże dwaj,
Wcisnęli się, jak w kleszcze,
Świeża im z przyłbic tryskała krew
Jak gęsty grad lub deszcze.
„Wstrzymaj się, Persy!“ pan Duglas rzekł,
A jak jest Bóg na niebie,

Klnę się, że Jakub, nasz szkocki król,
Hrabią uczyni ciebie!

Odszkodowania nie złożysz mnie,
Słuchaj mnie dla twej chwały,
Bo z wszystkich mężów, których ja znam,
Tyś w boju najbardziej wdały.“

„Nie! nigdy!“ odrzekł lord Persy, „nie!
Przed nikim się nie ukorzę,
Kogo — to raz już mówiłem ci —
Wydało niewieście łoże.“

A wtem przenagły zaświsnął belt
Z ręki walnego rycerza,
Prosto w hrabiego Duglasa pierś,
Krwawo go raniąc, uderza.

Przeszył wątrobę, w płuca się wpił,
Ten ostry pocisk: ni słowa
On już nie powie w żywota dniach,
Prócz tego: „Śmierć ma gotował
Wy walczcie dalej, niech każdy z was,
Odwagi swej dochowa!“

Persy na mieczu swoim się wsparł,
Patrzy, jak Douglas ginie,
Potem za rękę wziął go i rzekł:
„O jak mi żal cię ninie!

By cię ocalić, majątek swój
Na trzy podzieliłbym lata,
Bo nasz północny przebiegnij kraj,
Gdzie znajdziesz równego-ć chwata?!“

Śród wojów szkockich był jeden mąż,
Zwał się w Hew Mongon-berry,

I ten, ujrawszy, jak Duglas padł,
Oszczep pochwycił szczerzy:

Na swym biegunie popędzi wlot,
Śród stu łuczników szeregu,
By się na miejscu, gdzie Persy stał,
Zatrzymać w wściekłym biegu.

I wnet Persy'emu wymierzył cios,
Bolesny, jakich mało,
Grotem na drzewcu potężnym wnet,
Persy'ego przeszył ciało.

Tak z dwóch stron leżą ci męże dwaj
Na jaki tokieć od siebie;
Dzielniejszych nie znał chrześciański świat
Od tych, co w tej padli potrzebie.

Northumberlandzki tam łucznik był,
Co, widząc, jak Persy pada,
Łuk chwycił w rękę, a był to łuk
Z drzewa twardego nielada.

Długi na łokieć wyostrzył belt,
Na twardej wyostrzył stali
I w Mongonberrego utopił wnet
Strzałę, co trafnie wali.

Strzałą, co wali niechybnie tak,
Powalił Mongonberrego:
Łabędzie pierze u strzały tej
Zmazalo krwią się jego.

Żaden uciekać nie myślał człek,
Každy stał w miejscu swoim:
Jedni na drugich podnoszą miecz
I cisną się przebojem.

Ten w Czewiocie toczył się bój
W przedpołudniowym słońcu,
A gdy nieszporny zadzwonił dzwon,
Nie myślał nikt o końcu.

Jeden drugiego za rękę brał
W miesięcznem dopiero złocie,
By stać, nie jednym zabrakło sił
W tym górskim Czewiocie.

Z tysiąc pięciuset pięćdziesiąt trzech
Uszło Anglików w tem cięciu,
Zasię ze szkockich zostało wojsk
Dwudziestu ledwie i pięciu.

Reszta zasiała czewiocki las,
Lub stać nie mogła, złamana,
W żywocie matki płakałby płód,
Tak rzecz to oplakana!

Obok Persy'ego Dżon Agerston
Zginął w tem mężnem gronie
I Roger Hartley, rycerny pan
I William pan na Heronie.

I Jorg, czcigodny z Lowele mąż,
Słynnego pan nazwiska,
Na Rugbe, dziedzic bogaty, Raff
Legli przy sobie z bliska.

Po Widryngtonie mam w sercu żal,
Że padł tak niepowstrzymanie,
Bo gdy mu nogi porąbał miecz,
On walczył na kolanie.

I Mongonberry z Duglasem legł —
Zaznał, co belt znaczy ostry,

A obok Dawid z Lewdalul padł,
Synaczek jego siostry.

Pan Karol z Murrei, co nie chciał śnać,
Ustać ani kroku,
I Hewe Makswell, szlachetny pan,
Legł u Duglasa boku.

Rankiem na mary pokładli ich,
Na mary z orzechu i brzozy:
Niejedne wdowy tonęły w łzach,
Kładąc swe męża na wozy.

Northumberlandzki niech płacze kraj,
Żuruj-że, Tywidalu!
Dwóch waszych wodzów uchodzi precz,
Gramie, gińcie z żalu!

Do Edden-burrow nadeszła wieść,
Do króla Szkocji Jakuba:
Szlachetny Duglas w Czewiocie padł,
Dla marchij cóż to za zguba!

I łamie ręce i łamie król,
I mówi: „Cóż to za bieda!
Takiego wodza dla szkockich ziem
Nigdy już znaleźć się nie da!

I do Londynu przyłynął słuch,
Ktoś Henrykowi ją poda,
Że w Czewiocie lord Persy padł,
Dla marchij cóż to za szkoda!

„Zbaw-że go, Panie!“ król Henryk rzekł,
„Jeżeli taka Twa wola!
Jak on, mam takich hetmanów stu,
Którzy nie zejda z pola:

Ale, mój Persy, dopókim żyw,
Pomszczona będzie twa dola!"

A gdy przysięgę tę złożył król,
Jako mąż pełen chwały,
Cóż mogło pomóc Persy'ego śmierć?
Pod Hombyldown bój wspaniały.

Rycerzy szkockich trzydzieści sześć
Padło w bitewnym szale.
Odbłyśków zbroic, od ognia dzid
Plonęło całe Glendale.

Ten to w Czewiocie był groźny łów,
Na tem lesisku górnem,
Starcy go pomną i zowią go
Bitwą pod Otterburnem.

ŁOWY KRÓLA FINNA.

Chociaż, gdy wspomnę o tem, Patryku, ból gotowy,
To przecież o tych łowach, wiernemi-ć opowiem słowy.
W Albinie, wiesz, w zbrojowni ucztuje Finjów rzesza.
Przy śpiewie i przy szachach wesoło się pociesza.
Zaś książę Finn nieznacznie w albińskie się wymknie hale
Wtem łania się pokaże, mknąca, jak wiatr, wspaniale.
Psy gończe poszły za nią, Brana i Igeolana;
Nic o tych łowach nie wie, przyjaciół garść zebrana.
Cny jego miecz, syn Luny, i psy to jego druhy.
Wtem łania mu w las ucieknie Sliw a Gwilina głuchy.
I Finn i psy nie wiedzą tam na tem górskim zboczach,
Czy w prawo iść czy w lewo, tak im zniknęła z oczu.
I on na prawo pomknie, psom zaś ku lewej droga —
Wlot wróciłby, Patryku, gdyby miał łaskę Boga.
Rozgląda Finn się wokół, wtem jęk ku Loch-Sliw słyszy:

Nad brzegiem piękna dziewczka z boleści ledwie dyszy.
Lica, jak świeża róża, usta czerwone jagody,
Pierś kragła śnieżno-biała, szyja kwiat wiosny młody.
Złocisty włos, zaś oko to jasna gwiazda na niebie.
Gdybyś ją ujrzał, Patryku, porwałaby i ciebie. —
I Finn, wódz mężnych wojów, grzecznie się skłoni i powie:
„O pani miłościwa, widziałas psy me w dąbrowie?”
„Cóż dla mnie psy i łowy? Myślę o swej katuszy!
Wodzów rycerskich wojów, stratę i ból mam w duszy!”
„Zmarł wierny ci małżonek? Straciłaś dziecię łube,
Wierności ten zadatek? Opowiedz mi swą zgubę!
Opowiedz mi co prędzej, ty pani białoreka,
Finn, jeśli tylko zdoła, usunie co cię nęka.”
Odrzecz białoreka złocistowłosa pani:
„Straciłam pierścień drogi, i to mnie dziś tak rani.
Z palca mi padł w jezioro: o królu, wielce-ć proszę,
Chcesz ulżyć mym cierpieniom, odnajdź mi te rozkosze!”
Usłyszał Finn jej prośbę, copędzej zdjął odzież,
I skarb pani białoreki odnaleźć chce w jeziorze.
I pięć razy sięgnął do dna, badał na wszystkie strony,
I zdobył dla władczyni ten pierścień jej zgubiony.
Szukając go utracił swą młodość i swe siły,
Serce zamarło w starcu, ręce go opuściły...
Gdy czary te zmogły Finna w albińskiej my komnacie
Ucztujem i śpiewamy, nie myśląc o jego stracie.
Wtem zerwie się Kaoilt i spyta się: „Gdzie prawa
Jest dusza, syn Komhala?” W zbrojowni ucichła wrzawa,
I Konan syn Morniego, podstępny, jak gadzina,
„Byłoby dobrze,” powie „pozbyć się jarzma Finna.
Ja będę tem, Kaoilcie, czem był syn wam Komhala,
Na mnie się jego władza, sława i moc przewala.
Szyderczym był powitany śmiechem ten chęlpisz-szyderca,

Choć los zaginionego troską napępiał serca,
 Z Alwinu popędza swoje w pośpiechu i we trwodze,
 Azali mężnego Finna i gończych nie znajdują w drodze.
 I ruszył tak huf Finjów, Kaoilt i ja na przedzie,
 Sliew Gwillin tuż przed nami, lecz z księciem się nie wiedzie.
 Szukamy i śledzimy od góry na północy,
 Tylko na brzegu jeziora zobaczymy starca bez mocy:
 Obraz ostatniej nędzy, zwiedły, zapadłooki,
 Drżący, nad oną wodą chwiejnemi włókl się kroki.
 Myśleliśmy, że rybak przed nami stał znędniały,
 Że trudy i niedola lica mu pooraly.
 Pytamy, czy ze sforą pan mężny nie biegł czasem,
 Na zwierzta polujący, tą górą i tym lasem.
 Zawstydzil się wódz Finjów, smutnie pochylił głowę,
 Rzekł w końcu o swej doli na prośby Kaoiltowe.
 Nie chciał uwierzyć hufiec, czego pan doznał drogi,
 Trzykrotny okrzyk bólu, charty się kulą z trwogi.
 Jedynie lysek Konan, ten podły człek tchórzliwy
 Na Finna i ród jego sromotne rzuca dziwy:
 „Gdybyś był dumnym Finnem, łeb bym ci odciął od szyje
 Ty, przez którego zazdrość rycerny mój hyr nie żyje!
 Nie żał tak widzieć ciebie! Gdyby Finjowie razem
 Byli, jak ty, ja krew ich wylałbym tym żelazem.
 Odkąd Mar Morni zbryzgał swą tarczę krwią Komhala,
 Rycerski ród Morniego, żyć musi, wygnan, z dala.“
 A na to wódz nasz powie: „Finna mnie losy urzekły,
 Inaczej, wnetbyś mnie poznał, Konanie łysku wściekły!“
 Ten na to: „Zamknij gębę, Ojzyna synku gładki!
 I cóż ten Finn wasz sławny? Obgryza palców ostatki!
 Mój ród, nie ród Boisznego, w pierwszych się bojach wślawił
 Synalek twój, Ojzynie, grą się i śpiewką bawił.
 Nie pustem chęłp się słowem, czynu się lękasz, Oskarze,

Niech każdy z nas męstwo przed tym rycerstwem pokaże!“
 Oskar miecz chwyta groźnie, Konan się, tchórzac, chowa,
 Boi się odpowiadać za swe szydercze słowa.
 Huf Finjów szydzi z niego, lecz się wżgardliwie stara,
 By łaskę ten lysek podły mógł znaleźć u Oskara.
 I pyta go się Koilt: „Komhala synu luby,
 Czy czary cię dhuaty do tej przywiodły zguby?“,
 „Gwillina tak mnie córka, „rzekł Finn, „w swe wzięła sieci
 Gdy chytrze mi pierścieńca w jeziorze szukać zleci.“
 Chcąc zło swoje naprawić rzekł Konan wściekłością:
 „By pomścić krzywdę Finna, ruszym do czarownicy.“
 Wzięliśmy go na tarcze i pełni cnej ochoty,
 By zleczyć go, spieszymy do Gwillinowej groty.
 Pięć dni my i pięć nocy szliśmy do dna jej wnęki,
 Aż w końcu nas Gwillina oślepi swemi wdzięki.
 Trwożliwą, drżącą ręką zbawczym go darzy płynem.
 O szczęście! Tak się z zdrowym witać Komhala synem!
 Płonie mu oko młode! O ty rozkoszy moja,
 Widzieć tę gwiazdę rycerstwa, wolnego Finjów woja!
 Trzykrotny krzyk radości! Gończe szukają budy...
 Któż ci tak, mój Patryku, łowieckie opisał cudy!?

ŚMIERĆ KRÓLA ARTURA.

Na Świętą się Tróję zaczął bój,
 W dzień poniedziałku z rana,
 Gdy rycerz nie jeden „o żegnaj mi!“ rzekł...
 Ach! sprawa to oplakana!

Nim jeszcze pierwszy miał zapać kur,
 Król, leżąc, w łóżnicy, z czeladzi
 Jednego do pana Gawena śle
 I tak mu, gdy przybył radzi:

„Jako że stryjcem jesteście mym,
Więc jeśli wam życie jest drogiem,
Odlóżcie tę bitwę na inny czas,
Dziś nie stykajcie się z wrogiem.
W Francji jest bowiem pan Lancelot,
Z nim razem mnogo rycerza,
W tym on miesiącu powrócić chce
I przy was bojować zamierza.“
I król, nim jeszcze zaświtał dzień,
Wszystkie przywoła wielmoże,
Powie, że przybył pan Gawen k'nim
I co sam rzekł mu w tej porze.
I tak uchwalił ten wszystek zбір,
Że nim się słońce pokaże,
Trzeba herolda wysłać do wojsk,
Wysłać parlamentarze.
Król Artur wybrał dwunastu z swych —
Co najdzielniejsi to woje,
Aby ich słowa posłyszał wróg,
I podał warunki swoje.
Wszystkie swe wojska zgromadził król:
Niech czuwa ta rzesza mnoga,
Nie wolno jednak chwytać za broń,
Chyba, że ujrzą miecz wroga.
Po drugiej stronie pan Mordret z swych
Dwunastu dzielnych wybierze,
Aby w poselstwie do króla szli
I obgadali przymierze.
Pan Mordred również swój zebrał huf:
Niech czuwa ta rzesza mnoga,

Nie wolno jednak chwytać za broń,
Chyba, że ujrzą miecz wroga.
Stryjcowi bowiem nie ufa on,
Tak jak bratanek jemu;
Jakiemuż przez to chrześcijański świat
Losowi uległ złemu!
Bo kiedy razem spotkawszy się,
Rozejm zawarli spokojny,
Który przez miesiąc miał cały trwać,
Nim broń wyciągną do wojny,
Z gąszczy trujący wypełnie gad,
Na woja jednego kolana!
Dla chrześcijaństwa ach! jakąż się stąd
Rzecz stała oplakana!
Rycerz ten, widząc iż groźny zmij
Na jego uwziął się życie,
Odrazu z pochew wyciągnął miecz —
Rzecz gorzka, jak usłyszenie.
Bo gdy miecz wojska ujrzały dwa,
W te tropy się rzuca na siebie.
Po każdej stronie z nich tylko trzech,
Nie padło w tej potrzebie.
Zginął mąż każdy, co walczyć mógł,
Uciekli tylko niektórzy.
Biada! Gdzież kiedy jest letni dzień,
Co żniwem tak krwawem służy!
Po stronie króla Artura li tych,
Co uszli śmierci, się liczy:
Pan Lukin ksiązę Glosteru i pan
Bedewer, króla piwniczy.

Kiedy rycerzy swych ujrzał król,
Zabitych, rozszaniowanych po polu,
Na tę tak mężną we walce twarz,
Łzy mnogie pociekną z bólu.
„Rycerze moi, leżycie tu!
Tyle was padło, tyle!
O wierne serca, czy macie tak
W tym marnym szczytną pyłę?
Do śmierci byli oddani mnie,
Męskiemu wierni słowu:
O dech ja wszystkim oddałbym swój,
Ażeby wskrzesić was znowu!
Ale on, zdrajca dotychczas żył,
O tam! Śród boju,
Gorzko mi za to zapłaci on,
Moja mu zemsta bliska!“
„O stój, mój władco“, tak rzeknie kneź,
„Zaklinam cię na Boga,
O tem proroctwie pamiętać chciej,
Że masz unikać wroga!“
„Człowiecze ty, nie wstrzymuj mnie!
Chcę pomścić swoich rycerzy!
Cóż dla mnie życie, co dla mnie śmierć,
Ta zemsta im się należy.“
I ten swój wierny wyciągnie miecz
I konia dosiędzie w gniewie,
A tak piwniczy pomagał mu,
Że śnać mu wyjdzie trzewie.
„O“, rzeknie potem, sławetny król,
„Żem dożył tego widoku!

Padli rycerze, iż wiernie wciąż
Stali przy moim boku!“
I swoją kopję zatknąwszy w tok,
Tak krzyknie do Mordreda:
„Dbajże o siebie, ty zdrajco, dbaj,
Twa śmierć się odwlec już nie da!“
Pan Mordred podniósł do góry miecz,
Na króla pędzi, jak mało,
A zaś z oszczepem na niego król,
Na wylot przeszyje mu ciało.
Mordred, uczuwszy zabójczy cios,
Ciało krwią widząc zalane,
Pochwycił oszczep i jemu wnet
Śmiertelną zada ranę.
I tak pan Mordred okrutnie zmarł,
Tu, obok tego drzewa;
I król, nim księżę powrócił doń,
Strasznie się krwią zalewa
I tak do pana Lukina rzekł:
„O mój rycerz panie!
U boku mego wisiał ten miecz,
Ekskalibar jego nazwanie.
Ekskalibara, miecz ten mój, weź
I rzuć go na samo dno rzeki,
Bom się już wyrzekł pod drzewem tem
Wszelakiej broni na wieki.
Żegnaj mi, wierny ty mieczu mój!
Lepszego nikt nie miał z wojów.
Niejeden przez cię zginął mój wróg
W czasie tych moich boju.“

Nie jeden krwawy sprzątnąłem łan
Z tym zacnym sierpem w ręce,
Lecz dziś fatalną godzinę mam,
Że nim już nic nie uświęcę.“
I ksiązę poszedł nad rzeki brzeg,
I miecz swój rzucił do toni,
Ekskalibara zachował zaś,
Dla swojej własnej dłoni.
Z kolońskiej bowiem on stali był,
Rękojeść — drogie kamienie!
„Przytem“, rzekł ksiązę, „czyż taki miecz
Ma rzucon być na zniszczenie?“
Potem powrócił do króla on,
Ten rzecze: „Cóż widzisz, Lukinie?“
„Nic, nic, mój władco, a tylko wiatr
Zawiewa po głębinie.“
„O idź-że, idź,“ król powie znów,
Idźże, Lukinie mój miły,
Rzuć miecz do rzeki, by więcej mnie
Bole już nie trapiły!“
I poszedł ksiązę i w rzeki głąb
Królewską pochew rzucił,
Zaś Ekskalibara pod drzewem skrył,
Gdy z nim z nad brzegu wrócił,
„A cóż tam widzisz“, zapyta król,
„O ty Lukinie, Lukinie?“
„Nic, nic, mój władco, a tylko wicher
Szaleje po głębinie.“
„Lukinie, Lukinie!“ król powie znów,
„Oszukałeś mnie dwa razy.“

Jeśli jest w takim rycerzu kłam,
Któż może być bez zmyy?
Chciałeś, ażeby twój umarł pan,
Bo miecz się podobał tobie,
Rzuć go do głębi, inaczej dziś
Jeden z nas legnie w grobie!“
Ksiązę królowi nie odrzekł nic,
Jeno tą groźbą przejęty,
Poszedł i miecz ten daleko, jak mógł,
Rzucił w Dunaju odmęty.
Jakoweś ramię złapawszy miecz,
Trzykrotne nim kręgi zatoczy
I straci w głębię i odtąd już
Księcia nie ujrzą go oczy.
I ksiązę strasznie zdumiony stał,
Potem do króla przy drzewie
Powraca z wieścią, atoli król
Zniknął, lecz dokąd, on nie wie.
Nie wie, nie może powiedzieć on,
Snać tylko widział na rzece,
Jak jakaś barka rzucała brzeg,
I słyszał głosy kobiece.
Lecz czy to król był, czy też nie król,
Tego już nie zgadniecie,
Bo od tych smutnych, okrutnych dni
Nikt go nie ujrzał na świecie.

KRÓL JAN I OPAT KANTERBURYJSKI.

Opowiem wam dzisiaj prastare podanie
O władcy znamiennym, o królu tym Janie,

Co w Anglii panował, a taka jest sława,
Że dużo bezprawia, a mało znał prawa.

A teraz odemnie i drugą rzecz macie:
O Kanterburyjskim opowiem opacie,
Że sływał swym dworem, więc z tego powodu,
Słał Londyn po niego, by przybył do grodu.

Że opat ma codzień w pałacu stu ludzi,
Król słyszał i zazdrość to wielką w nim budzi;
Że dalej ma płaszców pięćdziesiąt — ze słuchów
Wie o tem — i tyleż złocistych łańcuchów.

„Cóż, ojczu opacie, słyszałem o tobie,
Że dwór masz, przy którym mój równy chudobie?
Przy takim znaczeniu ja wielce się boję,
Czy zdrady nie knujesz na władztwo to moje.“

„Mój królu,“ tak opat odpowie, „wiedz o tem,
Że tylko swem własnem rozporządzam ja złotem
I ufam, że Miłość mi Wasza we wszystkim
Pozwoli, bym własnym rozporządzał dobytkiem.“

„Tak, ojczu opacie, twe winy są duże,
I za to już samo toporem ci służyć.
Na trzy dziś pytania odpowiesz mi składnie.
Inaczej twa głowa od ciała odpadnie.“

Po pierwsze: „jeżeli tak stoję,“ król powie,
„W mej pięknej złocistej koronie na głowie,
A przy mnie wielmożów szlachetne nasienie,
To w jakiej na grosz mnie szacowałbyś cenie?“

„A z drugim pytaniem,“ król powie, „tak ma się:
Świat w jakim ja konno objechałbym czasie?
Na trzecie — nie drzyjcie, mój ojczu opacie! —
Co myślę w tej chwili odpowiedź mi dacie.“

„Na prosty mój rozum za trudne pytania,
Odpowiedź dać dzisiaj on całkiem się wzbrania.
Lecz jeśli mi, władco, trzy zwierzysz tygodnie,
Odpowiedź na wszystko ja-ć dam niezawodnie.“

„Trzy tygodnie dać mogę, to moja ochota,
I taki też czas jest twojego żywota.
Gdy trzy te pytania wyjaśnisz mi kłamnie,
Twe ziemie, twe dobra, przypadną już na mnie.“

Wyjechał ksiądz opat przerażony i blady.
W Oksfordzie i Kembrydż chciał szukać porady,
Lecz żaden tu doktor tak mądry nie siedzi,
By mógł mu udzielić w sam raz odpowiedzi.

Powrócił do domu zmartwiony i chory,
I spotkał owczarza, jak siedł do obory:
„Witajcie, opacie! a jakież nam sprawy,
Niesiecie? Co robi król Jan nasz łaskawy?“

„O smutne ci rzeczy, owczarzu obwieszczę:
Do życia od dzisiaj trzy dni li mam jeszcze,
Bo gdy nie wyjaśnie trzech pytań mu składnie,
Od ciała ma głowa sromotnie odpadnie.“

Po pierwsze: Jeżeli stać będzie, król powie,
W swej pięknej, złocistej koronie na głowie,
A przy nim wielmożów szlachetne nasienie,
To w jakiej na grosz go szacowałbym cenie?

A z drugim pytaniem, król mówił, tak ma się:
Świat w jakim on konno objechałby czasie?
A trzecie powiedział: nie drzyjcie, opacie,
Co myślę w tej chwili, odpowiedź mi dacie.“

„Pocieszcie się, panie! Pewnieście słyszeli,
Że mędrcom i prostak mądrości udzieli!

Więc dajcie mi konia, swą służbę, swe stroje,
A ja się w Londynie rozgadać nie boję.

I za to cię, Panie, twój sługa przeprasza:
Nie lepszą odemnie Dostojność jest Wasza:
Gdy pójde w tym stroju, co wszędy tak słynie,
To nikt nie rozróżni nas obu w Londynie.“

„I konia i służbę, jak chcesz, znajdziesz u mnie,
Przedstawiś się wszystkim przystojnie i dumnie:
I krzyż i pastorał — w infule, w rokiecie,
Jak sam Ojciec Święty wyglądać będziecie...”

„Czcigodny opacie, witamy!“ Król rzecze;
„To dobrze, że pomnisz o dniu swym, człowiecze,
Bo jeśli odpowiesz na trzy me pytania,
Zostanie ci życie i twoja plebanja.

„Po pierwsze: Jeżeli tak stoje,“ Król powie,
„W mej pięknej, złocistej koronie na głowie,
A przy mnie wielmożów szlachetne nasienie,
To w jakiej na grosz mnie szacowałbyś cenie?“

„Śród żydów zdradliwych — bo takie są wieści —
Sprzedany nasz Zbawca za groszy trzydzieści.
Na dziewięć dwadzieścia szacuję zaś Ciebie,
O grosz jesteś lichszy od Władcy na niebie.“

Król śmiał się i kłął się na świętą cześć Pani —
„Jam wcale nie myślał, że jestem tak tani!...
A drugie pytanie odpowiedz mi zaś,
Świat w jakim na koniu objechałbym czasie?“

„Masz wstać razem z słońcem i jechać bez końca,
Aż w drugie znów rano zobaczysz krąg słońca,
W ten sposób, ja-ć ręczę na wszystkie kozery,
Przejdiesz świat w godzin dwadzieścia i cztery.“

Król śmiał się i kłął się na to, co go czeka,
Że droga tak bliska, choć taka daleka!
A teraz na trzecie — nie drzyjcie, opacie! —,
Co myślę tej chwili, odpowiedź mi dacie.“

„O tak! ja przepraszam i powiem: A zatem,
Kanterburyjskim, że jestem opatem.
Owczarzem ja tylko, chodząca ja nędza,
I wielce przepraszam, za siebie i księdza.“

Król śmiał się i kłął się na Świętą Ofiarę:
„Dziś zająć masz miejsce opata prastare!“
„Powstrzymaj się, Królu, w tym swoim zapale,
Bo czytać i pisać nie umiem ja wcale!“

„Co tydzień ci cztery czerwone dam złote,
Że w taką mnie dzisiaj wprawileś ochotę,
A w domu ty pociesz opata-bogacza,
Że w swojej dobroci Król Jan mu przebacza.“

SKARGA WDOWY KEREVY.

Mój luby wzniósł mi dom bogaty,
Przyozdobił go w lilij kwiaty,
Gdzież kto piękniejsze widział ściany,
Nad te, co wzniósł je mój wybrany.

Wtem nas w południe zbir opadnie,
Króla przywiedzie z sobą zradnie,
Króla, co męża mi w złej mocy
Jeszcze tej samej ubił nocy.

Nie było dość mu krwi, dobytek
On mi zabrał wszytek.
Służba ocala się coprędzej,
Zostałam sama w swojej nędzy.

Sama śmiertelną mu koszulę
Uszyłam, sama ciało tulę,
Żałobne pieśni śpiewam, z ludzi
Nikt się tu do mnie nie potrudzi.

Na swoje wzięłam go ramiona,
Idę lub stoję utrudzona;
Sama wykopię dół głęboki,
Pod darń zieloną skryję zwłoki.

Czy nie myślicie, że bez skargi,
Ziemie rzucałam mu na wargi?
Że się me piersi nie ranily,
Gdym odchodziła od mogiły?

Niczem mi żywa ziemia cała,
Odkąd mi męża śmierć zabrała!
Serce mi zamknął, jak w okowy,
Żółty pęk włosów z jego głowy.

MIŁOŚĆ SIĘ WSZĘDZIE ZAKRADA.

Nad gór opoki,
Nad fal rozbieże
Popod potoki,
Pod zmarłych leże,
Przez morza najgłębsze ogromy,
Gdzie Neptun nad niemi włada,
Nad turni spadziste złomy,
Miłość się wszędzie zakrada.

Gdzie niema schroni,
I dla świetlika,
Gdzie w swej pogoni,
Muszka nie wnika.

Gdzie komar nie znajdzie podścieli,
Choć sobie on trudu zada,
Tam miłość się wcisnąć ośmieli —
Ona się wszędzie zakrada. —

Czy jest jak duże
W swej mocy dziecię,
Czy mknie, jak tchórze,
Z strachu po świetle,
Czy też przed niem kochającą,
Ucieka i w mrokach przepada,
To mimo straży tysiąca,
Ona się wszędzie przekrada.

Ten ją krępuje,
Bo zbyt jej chce się,
Ten się lituje,
Że ślepa zwie się,
Lecz w jakąkolwiek kaźń będzie
Zamknięta, snąć trudna to rada:
Jest ślepa, a przecież się wszędzie,
Wszędzie ta miłość przekrada.

Orłów wziąłby snadnie,
I bez zawodu,
W ręce ci wpadnie,
Feniks, ptak wschodu;
Lwieć przekonasz najprościej,
Że łup ci odda nielada,
Nie wstrzymasz tylko miłości,
Ona się zawsze wykrada.

O ŻAL MI, ŻAL!

O żal mi, żal! Ach! mój ten brzeg!
O żal mi, żal! To wzgórze moje!
Ta moja rzeka! Jak często my
Siadywaliśmy tam oboje!
Patrzałam w głąb, wsparta o dąb —
W tem drzewie, myślę są siły:
Wprzód on się zgiął, zaś złamał się
Tak samo też i mój miły.

O żal mi, żal! Ach! miłość trwa
W krótkiej młodości godzinie;
Gdy przyjdzie wiek, ginie, jak śnieg,
Jak ranna rosa tak ginie!
Ach! Poco, poco, mam czesać włos,
Poco się stroić nieskromnie,
Gdy mnie mój miły porzucił już
I nie powróci już do mnie!

Wzgórze Artura mem łóżem dziś,
Nie trza mi prześcieradła,
Tam z jego źródła wodę mi pić,
Odkąd ma miłość przepadła.
Kiedyż zawieje ten mroźny wiatr
I liście z drzewa postrąca?
Cięży mi życie! O śmierci przyjdź!
Tak jestem ciebie pragnąca.

To nie śnieg groźny, nie srogi mróz,
Co mnie tak dzisiaj uśmierca,
Nie lód wyrywa ten ze mnie krzyk,
A tylko chłód jego serca!
Kiedy w Glasgowie ujrzano nas,
Do dzisiaj ten widok słynie:

Z welwetu strój miał luby mój,
Ja byłam w karmazynie.

Znająca wprzód miłości chłód,
Przed pocałunki mojemu
Serce bym w złoty zamknęła schow,
Gwoździami zabiła srebrnemi.
Gdy u piastunki zobaczę ach!
Moją dziecinę jedyną,
Już ja na wieki odejdę stąd,
Bo już nie będę dziewczyną!

ŻAŁOBNY DZWON KORYDONA.

Żegnam, cię moja Filido,
Biada mi po twym skonie!
Straciłem me ukochanie,
I dziś, ach! po niem dzwonię.
Dzwoń, dzwonie, dzwoń, dzwonie, dzwoń, dzwonie!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzbiny,
Głowę Filidy przykryję.

Dla mojej pięknej Filidy,
Małżeńskie usłałem łóżę;
Same jedwabie, dziś ona
Leży w całunach nieboże!
Dzwoń, dzwonie, dzwoń, dzwonie, dzwoń, dzwonie!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzbiny
Głowę Filidy przykryję.

Niech zwłokom jej towarzyszą,
Dziewczęta w pięknej ozdobie,

Aż skończą się egzekwije,
I ona już legnie w grobie.
Dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.
Wybrani młodzieńcy będą
Żalobne prowadzić konie,
A kiedy ją pochowają,
Ja sam jej podzwonne wydzwonię.
Dzwoń, dzwone, o dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby
I głowę Filidy przykryję.
Wieniec, niesiony przed nią,
Piękną wykonan robotą,
Z kwiatów przeróżnobarwnych
Młode jej druchny uplotą.
Dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.
Wstęgi ja różnobarwne
Na tę przyniosę chwilę,
Przeważnie czarne i żółte,
Aby z nią legły w mogile.
Dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.

Grób jej jaknajrzadszemi
Pragnę obsiewać kwiatami,
A iżby wciąż były świeże,
Podlewać je będę łzami.
Dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.
O, nie kamienny nagrobek
Postawię ponad jej ciałem
Ja obraz jej wymaluję
W tem mojem sercu zbolałem.
Dzwoń dzwone, dzwoń dzwone, dzwoń dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.
I w niem też wryję napis,
Jak moja miłość tak świeży:
Najpiękniejsza z pasterek
Tutaj w tym grobie leży.
Dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!
Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.
I będę nosił żalobę,
Czarną się szatą okryję —
O biada mi. Jestem stracony,
Moja Filida nie żyje!
Dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone, dzwoń, dzwone!
Moja Filida nie żyje!

Zerwę gałązkę wierzby,
Głowę Filidy przykryję.

ANIOŁ GABRJEL.

(Kolenda staroangielska)

Do Galilei wysłał Bóg
Gabrjela, swego anioła
Do czystej Panny wysłał go,
Co się „Maryja“ woła.
A kiedy Anioł przyszedł k'niej,
Padł przed nią na kolana,
I, w twarz patrzącej Maryi, rzekł:
„Pozdrawiam Cię, Panno wybrana!“
Więc wszyscy wraz nućmy w ten czas:
„O Gody, pełne wesela!
Szczęśliwy los, że słyszym głos,
Anioła Gabrjela.“

I spojrz nań ta Pani Pań
I powie: „Kim jesteś, panie?
Wielce mnie dziwi nowina twa,
To twoje do mnie posłanie.
Małżonkiem moim leciwy człek,
Takiego dała mi dola,
Alboż ja wiem, kimś ty i czem,
Więc idź stąd, jeżeli wola.“
Więc wszyscy wraz nućmy w ten czas:
„O, Gody, pełne wesela!
Szczęśliwy los, że słyszym głos
Anioła Gabrjela.“

„Maryjo ach! porzuć ten strach,
I miejże wiarę we mnie

Albowiem Ducha świętego moc
W swe cię otuli ciemnie.
Poczniesz bez trwóg, tak rzekł mi Bóg,
Pan, panujący na niebie,
I zejdzie rad na ziemski świat
Syn Boży, narodzon z ciebie.“
Więc wszyscy wraz nućmy w ten czas:
„O, Gody, pełne wesela!
Szczęśliwy los, że słyszym głos,
Anioła Gabrjela!“

I cud się stał, jak Pan Bóg chciał,
Jak Anioł rzekł swego czasu;
I Anioł wnet północiem zszedł
Do owczarskiego szałasu,
Aby dać znak, kiedy i jak,
Nasz Władca przyszedł k'nam w gości;
I na ten zew rozległ się śpiew:
„Chwała na wysokości!“
Więc wszyscy wraz nućmy w ten czas:
„O, Gody, pełne wesela!
Szczęśliwy los, że słyszym głos
Anioła Gabrjela.“

Niech wszelki lud, który zna trud,
I szczęście, a słyszy me słowa,
Uczi tę wieść i w bożą cześć
Zaśpiewa i radość zachowa!
Niech cały świat, jak z siostrą brat,
Kocha się zawsze i wszędy;
Prośmy, by Bóg zbawić nas mógł —
Tu koniec mojej kolędy.

Więc wszyscy wraz nućmy w ten czas:

„O, Gody, pełne wesela!

Szczęśliwy los, że słyszym głos

Anioła Gabrjela.“

NARODZINY ROBINA HOODA.

I.

O, Willie w plecach szeroki był,

Z zanego rodu pochodził,

Do grafa Ryszarda na służbę wszedł,

Za strawę i jurgielt się zgodził.

Graf Ryszard córkę jedyną miał,

Piękną jak lilji kwiecie,

Oboje miłość zawarli wnet,

Tak nim się zajęło to dziecko.

I zdarzyło się raz w letnią noc,

Gdy zielen naokół pnie się,

Że Willie damę nadobną swą

Spotkał samotną w lesie.

„O ciasna, Willie, sukienka ma,

A była tak szeroka,

Opuściła mnie już barwa lic,

Ta pycha ma dla oka.

„Gdyby się ojciec dowiedział mój,

Co między nami się stało,

Powiesiłby cię na murze swym,

Nimby posilił swe ciało.

„Lecz do komory mej Willie, przyjdź,

Gdy tylko zgaśnie blask słońca,

I tak mnie zamknij w ramiona swe

I trzymaj tak bez końca!“

A kiedy słońce zagaśło już,

On zbliżył się do alkowy,

Ona przez okno zoczy go wnet

Przy jaśni księżycowej.

I wzięwszy na się szkarłatny płaszcz,

Bez trwogi wyskoczy ona,

Willy szeroki w ramionach był,

Schwycił ją w swe ramiona.

I poszli w piękny, zielony las,

I w nocy, nim dzień się poczyna,

Śród zielonego liściwia drzew

Dzielnego powiła mu syna.

Gdy noc minęła i nadszedł dzień,

Gdy słońce powita ludzi,

Graf Ryszard wstanie z łóżnice swej,

Z ciężkiego snu się obudzi.

I swoje giermki przywoła wnet:

„Jeden i drugi i trzeci

Niechże zobaczy, przecz córka ma

Do mnie tu nie przyleci?

„Miałem tej nocy straszliwy sen,

Niech Bóg nas od złego ocali:

Śniłem, że córka najdroższa ma

W słonej topiła się fali.

„Zmarła, czy chora jest córka ma,

Lub czy ją uprowadzono?

Klnę się i przysięgam dochowam swych,

Że wszystkich powieszę pono.“

I poszli szukać i tu i tam,
Wszędzie ich urok poniesie,
Wreszcie ujrzeni, jak dziecię swe
Karmi w zielonym lesie.

I on chłopaczka w swój uścisk wziął,
Całuje go do ostatka:
„Twegom,” rzekł, „ojca powiesić chciał,
Lecz drogą mi twoja matka.”

I całuje go, całuje wciąż:
„Tyś moim jest wnukiem, dziecię,
Robinem Hoodem z Zielonych-Kniej
Będziecie się zwał na świecie.”

Niejeden śpiewa o kielkach traw,
Niejeden, jak rośnie zboże,
Lecz gdzie urodził się Robin Hood,
Mało kto śpiewać może.

Nie w żadnym zamku urodził się,
Nie w malowanym dworze,
Jeno gdzie rośnie lelui kwiat,
W pięknym, zielonym borze.

II.

Robin Hood i biskup z Herfordu
Chodźcie, panowie, posłuchać mnie,
Pragnę powiedzieć wam o tem,
Jak to biskupa zwiódł Robin Hood,
Gdy kazał mu rozstać się z złotem.
W pięknym Barnsdalu gdy bawił on,
Pod drzew liściwiem zielonym,

Biskup z Herfordu przechodził tam
Ze wszystkiem swoim gronem.

„Ubić mi zwierza,” rzekł Robin Hood
„Dobrego ubić wypadło!
Biskup dziś siądzie przy stole mym,
Godnie zapłaci za jadlo.

„Ubijem zwierza,” rzekł Robin Hood,
„I czekać tu chwilę mnogą
Będziemy, patrząc, czy biskup ten
Nie chce pójść inną drogą.”

I gunię na się juhaską wziął,
Z nim sześciu chłopów w te pędy
Naokół ognia tańczyli wraz,
Gdy biskup z Herfordu szedł tędy.

„Cóż to za sprawa,” tak biskup rzekł,
„I cóż to z wami się stało?
Na co ubity królewski zwierz,
Kiedy was razem tak mało?”

„My som juhasi,” rzekł Robin Hood,
„Każdy z nas owiec strzeże,
Dzisiaj chcieliśmy zabawić się,
Królewskie ubić zwierzę!”

„Dobrzyście chłopcy,” tak biskup rzekł;
„Król dobrze zna wasze sprawy,
Przeto się spieszyć i ze mną pójść,
Niech ujrzy was król łaskawy.”

„O wybac, wybac,” rzekł Robin Hood
„Wybac, jam błagać cię gotów,
Wszak się nie godzi, by księży strój
Do tyłu wziął się żywotów.”

„Żadne tu“ „wybacz“, ksiądz biskup rzekł —

„Przysięgam ci bez pardonu,
Przeto coprędzej, chodź ze mną, chodź
Do królewskiego tronu.“

Robin o drzewo oparł swój grzbiet,
A stopy o krzaki głogu,
I z pod juhaskiej guni się wziął
Do myśliwskiego rogu.

Przyłożył munsztuk do swoich warg
I w okrag zagrzmiał rozgłośnie,
I na ten ton lud z wszystkich stron
W siedemdziesięciu wyrośnie.

Przed dzielnym Hoodem skłonili się,
Piękny był widok zaiste!
„Cóż to się stało?“ rzekł Mały Dżon,
„Co znaczą te dźwięki rześiste?“

„O tutaj biskup z Herfordu jest,
Przebaczyć nam nie zna sposobu.“
„Utnij mu głowę“, rzekł Mały Dżon,
„I rzuć mu do jego grobu.“

„O łaski, łaski!“ tak biskup rzekł,
„O łaskę li prosić mogę,
Gdybym był wiedział, że jesteś tu,
Inną bym wybrał drogę.“

„Tu niema łaski“, rzekł Robin Hood,
„Ja łaski nie znam wcale;
Dla tego spiesz się i ze mną chodź
Do wesołego Barnsdale.“

Robin za rękę biskupa wziął
I do Barnsdaleu prowadzi,

W nocy mu każe spocząć i jeść
Przy wina i piwa kadzi.

„Wystaw rachunki“, tak biskup rzekł,
„Zda mi się, będą duże.“
„Daj mi swą kieszę“, rzekł Mały Dżon,
„A ja ci wnet posłużę.“

I Mały Dżon wziął księdza płaszcz,
Rozłożył go prędko na ziemi,
Z kiesy biskupiej czerwienice wziął,
Pokrył go trzysta złotem.

„Niech teraz idzie“, rzekł Robin Hood;
„O nie!“ Dżon Mały odrzeczę;
„Niech-że on wprzód odprawi mszę,
Nim stąd się precz powlecze.“

Robin za rękę biskupa wziął,
By go przywiązać do drzewa:
„Niech sobie teraz odprawia mszę,
Niechże ludkowi śpiewa.“

Robin go wczas powiódł przez las,
Muzyce grać poradzi,
„Niech tańczy biskup w trzewikach swych!“
Potem na siwka go wsadzi,
Ogon do ręki i dalej ksiądz
Odszedł już jak najgładziej.

III.

Robin Hood i Rzeźnik

Chodźcie, rycerze, posłuchać mnie,
Wy, co jesteście tu ninie,

Pieśń ja wam bowiem zanucić chcę,
 O dzielnym łuczniku Robinie.

Tak się zdarzyło, że Robin Hood,
 Ujrzał rzeźnika w lesie,
 Jak mięsa dość na targ ten gość
 Na swej kobyle niesie.

„Dzień dobry, druhu,” chwyt Robin rzekł!
 „Cóż to za strawę tam macie?
 Czem trudnisz się, mów, proszę cię,
 Skąd jesteś? Rad widzę cię, bracie.”

A na to rzeźnik odpowie mu:
 „Skąd? Czem ja? Rzeźnictwo me znamię;
 Mięsa ja płat sprzedać bym rad
 Na targu w Nottinghamie.”

„Ile,” rzekł Robin „za mięso to?
 Odpowiedz prędko w twej sprawie;
 A dużo też za szkapę chcesz,
 Rad się w rzeźnika zabawię.”

„Ile za mięso chcę?” rzeźnik rzekł,
 „Wraz ci odpowiem; za szkapę
 Prosty jest targ: dasz mi bez skarg
 Cztery mareczki na łapę.

„Dam cztery marki” chwyt Robin rzekł;
 „Na czteryśmy się zgodzili;
 A teraz już szkapą mi służ,
 Chcę być rzeźnikiem tej chwili.”

Do Nottinghamu udał się Hood
 Rozpocząć rzemiosło świeże;
 I wnet bez mąk z szeryfa rąk
 Potrzebną jatkę bierze.

Gdy inni ławy otworzą swe
 I Robin też z nimi w zawody:
 Lecz mało znał on kupiecki plon,
 Na to był jeszcze za młody.

Gdy inni sprzedąć nie mogli nic,
 On złoto zgarniał, bo, proszę,
 Za grosz on więcej oddawać zwykł,
 Niż inny dał za trzy grosze.

A gdy tak towar sprzedawał swój,
 Żaden mu rzeźnik nie sprości:
 On dawał więcej za jeden grosz,
 Niż inny za pięć dla swych gości.

I w Nottinghamie poczęło wnet
 Rzeźnickie rozstrząsać plemię:
 „To marnotrawnik! Zapewne on
 Ojcowską zaprzedał ziemię.”

I do Robina chcą zbliżyć się,
 Przyjaźń chcą zawrzeć wzajemną:
 „Wszak równa myśmy, o panie, bracie”
 Rzekł jeden „chodź obiad zjeść ze mną.”

„Przekląć rzeźnika,” chwyt Robin rzekł,
 „Coby odmówił w tej sprawie,
 Jestem wasz brat, za Wami w ślad
 Natychmiast na obiad się stawię.”

A gdy w szeryfa przybyli dom,
 Kiedy zasiedli do stoła,
 Tak sprawił los, że pierwszy głos
 Miał Robin i tak on zawoła:
 „Błogosław, Boże, nas wszystkich,” rzekł,
 „Nas i tę naszą zabawę:

Krew trzeba grzać, więc wina dać!
 Tem kończę tę moją sprawę.
 „Dać więcej wina,” chwyt Robin rzekł,
 „Weselić nam się wypadło;
 Niechże kosztuje co sobie chce,
 Za wino zapłacę i jadło.
 „Radujmy się, bracia,” chwyt Robin rzekł,
 „Pijmy! do kroćset tysięcy!
 Nim pójde precz, za całą rzecz
 Pięć funtów zapłacę i więcej!”
 „Oszalał smyk!” rzeźnicy w krzyk,
 A szeryf zaś doda tej braci:
 „Ojcowski łan sprzedał ten pan,
 I złoto i srebro traci.
 „Rogate bydło,” tak szeryf rzekł,
 „Czy możesz mi sprzedać, aspanie?”
 „Mości szeryfie! Sto dwie lub trzy
 Mam sztuki na sprzedanie.
 I pięknej ziemi sto akrów mam,
 Może zobaczyć je chcecie;
 Ja cię tak panie, upewniam w tem,
 Jak ojciec upewnił swe dziecię.”
 Szeryf na konia dobrego siadł,
 Sto funtów zabrał w złocie,
 I w cwał z Robinem, ażeby się
 Przy jego zatrzymać skocie.
 I tak pędzili, z szeryfem Hood,
 Aż gdzie się las Sherwood zaczyna:
 „Oby nas Bóg ocalić mógł!”
 Rzekł szeryf, “od Hooda Robina!”

A gdy pomknęli conieco w dal,
 Chwył Robin ujrzawszy na oczy,
 Sto sztuk zwierzyny płowej, co tchu
 Do pana szeryfa przyskoczy.
 „Panie szeryfie, podobać się
 Moja rogata zwierzyna?”
 „Wolałbym precz stąd, towarzyszu mój
 Już mi się mierzyć zaczyna.”
 I do ust Robin przyłożył róg,
 Trzykrotnie na nim zadzwoni,
 I na ten ton wnet Mały Dżon
 Z towarzyszami przyspłoni.
 „Czego chcesz panie,” rzekł Mały Dżon,
 „Jakim mnie darzysz rozkazem?”
 „Jest z Nottinghamu pan szeryf tu,
 Chce obiad zjeść z tobą razem.”
 „Pięknie go witam,” rzekł Mały Dżon;
 „Zapłaci nam dobrze tej chwili;
 Jak mówi lud, złota ma w bród,
 Dzień cały będziemy pili.”
 Robin Hood gunię z swych ramion zdjął,
 Rozścielił ją na ziemi,
 Pana szeryfa wysypał sak
 Z trzystu funtami złotemi
 Potem go wywiódł hen! po za las,
 Na siwka posadził go potem
 I „Tweje się pani polecam,” rzekł
 I, śmiejąc się, ruszył z powrotem.

IV.

Robin Hood i trzech synowie wdowy.

Rok nasz miesiący dwanaście ma,
Wiadomo o tem wszędzie,
Lecz z wszystkich w roku to miesiąc maj
Najcudowniejszy będzie.

Do Nottinghamu szedł Robin Hood,
Dołu, po błoni, po lesie,
A wtem po drodze jakąś mu los
Babę-staruchę przyniesie.

„Mów-że, starucho, co słyhać, mów,
Jakie masz dla mnie nowiny?“
„Że w Nottinghamie młodzianków trzech
Zginać ma tej godziny.“

„Spalili probostwo, czy proboszcz sam
Zginał z ich ręki? czy może
Cudzą małżonkę uwiedli gdzieś,
Lub dziewczę shańbili hoże?“

„Ani probostwa nie spalił nikt,
Nie zabił proboszcza ni żony
Nie uwiódł cudzej, ni żaden gwałt
Nie jest na młódce spełniony.“

„Więc co takiego?“ rzekł Robin Hood,
„Powiedz mi, proszę, tej chwili.“
„W lesie, mający każdy swój łuk,
Królewskie zwierzę ubili.“

„Pomniesz,“ rzekł Robin, „jakeś mnie raz
Jadłem i piciem uczęła?“

W stosownej chwili przynosisz wieść,
Zaręczam, starucho miła.“

Do Nottinghamu szedł Robin Hood,
Dołu i dołu i dołu,
Wtem jakiś stary wędrowny człek,
Spotkał się z nim pospołu.

„Cóż tam, staruchu, co słyhać? mów!
Jakie masz dla mnie nowiny?“
„Trzech w Nottinghamie młodzianków,“ rzekł
„Zginać ma tej godziny.“

Dalej, swe szatki na moje zmień,
Na moje zmień co żywo:
Czterdzieści srebrnych tu groszy masz
Na wino, czy na piwo.“

„Twój przyodziewek dostatni jest,
Mój zasię łachman zdarty;
Skąd ty i dokąd, ja nie wiem nic,
Lecz z starca niewczesne są żarty.“

„Nuże, staruchu, zmień suknie swe,
Na moje zmień strój latany!
Dwadzieścia tutaj czerwieńców masz,
Winem swe ugość kompani!“

Ledwie na czubek głowy mu wlaźł
Stary kapelusz dziada:
„Przy innym handlu następny raz
Znajdzie się na to rada!“

Potem starucha kubraczek wdział,
W niebieskie, czerwone łaty —
I sakwy z chlebem nie wstydził się
Przewiesić na strój ten bogaty.

Następnie w dalszy ubrał się strzep,
W dziadowskie szarawary:
Nie można twierdzić, by próżny był
Ten dziadowina stary.“

Potem pończochy starucha wdział,
Do kolan cery i cery!
„O jako żywo!“ rzekł Robin Hood,
„Śmiech mnie porywa szczery.“

Potem w starucha trzewiki włożył,
Dziura do dziury ucieka!
„O jako żywo,“ rzekł Robin Hood,
„Ubranie robi człowieka!“

Do Nottinghamu szedł Robin Hood,
Dołu i dołu — nareszcie —
Z dumnym szeryfem spotkał się wnet,
Spacerującym po mieście.

„Bóg z tobą, panie szeryfie,“ rzekł,
„Bóg z tobą! ja jestem za tem!
Cóżbyś staremu człękowi dał,
Co byłby dziś twoim katem?“

„Dam ci ubranie“ pan szeryf rzekł,
„Ubranie-ć dam, ubranie;
Trzydzieści pensów i nowy strój,
Tyle kat dzisiaj dostanie.“

A na to Robin jak skakać jął,
Jak kręcić się naokoło!
„Nigdy nie widział,“ szeryf się klnie,
„By staruch tak skakał wesoło.“

„A ze mnie nigdy nie bywał kat
I nigdy nie będzie, wiecie;“

„Przeklęty,“ rzekł Robin, „jest taki człek
Co pierwszym był katem na świecie!“

„Sakwę na mąkę i sakwę na groch,
I żyto przewieszam przez szyję,
Mam sakwę na mięso i sakwę na chleb
I sakwę gdzie rożek swój kryje.“

„W kieszeni chowam ten rożek mój,
Podarek Robina Hooda,
A gdy przyłożę go do mych warg
Dać mi dla ciebie się uda.“

„Dmij-że, zuchwały człeku w swój róg,
Znam cię ja dobrze,“ tak powie;
„Chcę, abyś zadał, aż dwoje ócz
Wylezą ci na wierzch w tej głowie.“

Zagrał na rogu po pierwszy raz,
A róg tak huczy i dźwięczy,
Że stu łuczników zleciało z hal,
Z turniczek i przełęczy.

Zagrał na rogu po drugi raz,
Zagrał tak przeraźliwie,
Że sześćdziesięciu przygnało ich
Po lesie i po niwie.

A ci co zacz są, co przyszli tu
Polami?“ tak szeryf zapyta.
„Moi to ludzie,“ rzekł Robin Hood,
„To ich do ciebie wizyta.“

I szubienice przenieśli w las,
Do jaru przenieśli tej chwili,
Oswobodziwszy swych ludzi trzech,
Szeryfa tam powiesili.

V.

Śmierć Robina Hooda.

Nad brzegiem rzeki, gdzie rośnie glóg
Dołu, dołu na dół, w dół
 Robin tak Dżona zagadnie:

„Nie jeden funcik za dobry strzał
 Zagarnęliśmy przykładnie.

O dołu, dołu, na dół w dół!

„Atoli dzisiaj ten łuczek mój
 Sprawność już opuściła,
 Lecz tam za wzgórzem puści mi krew
 Moja kuzynka miła.

„Nie będę jadł, nie będę pił,
 Nic nie dogodzi mi pono,
 Aże do Kirkleys nie udam się,
 Aby z żył krew mi puszczo.

„Córka mej ciotki jest ksienią tam,
 A więc ma we mnie brata;
 Wiem, że mnie skrzywdzić nie może, nie
 Za cenę całego świata.“

„Ja ci nie radzę,“ rzekł Mały Dżon,
 „Słuchaj mnie, wodzu łaskawy;
 Najlepszych swoich łuczników weź
 Pół setkę do tej wyprawy.“

„Jeśli się lęka mój Mały Dżon,
 Niech w domu pozostanie;“

„Nic nie usłyszysz o mnie, o nic,
 Skoro się gniewasz, panie.“

I Robin ruszył do Kirkleyhall
 I wnet u wrótni zadzwoni,

I pani ksieni puści go wnet
 Do swej klasztornej ustroni.

I pani ksieni Hood Robin dał
 Dwadzieścia funtów w złocie
 I obiecuje, że jeśli chce,
 To większe da jej krocie.

„Siądź tu, a może też ze mną chcesz
 Napić się piwa, kuzynie?“
 „Nie będę jadł, nie będę pił,
 Aż krew mi z żył nie popłynie.“

I pani ksieni wnet na dół szła,
 By wrócić w tym momencie,
 Z parą puszczałów ma w rękach swych
 Jedwabne zawinięcie.

I do Robina przykłada żył
 Te nieszczęśliwe puszczały;
 Przetnie z nich jedną i spłynie z niej
 Czerwona krew i zsiadła;

Tak, pierwsza zsiadła i gęsta krew,
 Druga zaś cienka pada,
 Od razu spostrzegł to Robin Hood,
 Że w wszystkim tem była zdrada.

I tak Robina oblała krwią,
 Że był, jak kropla jedna,
 Do następnego rana, tak dzień
 Płynęła krew ta biedna.

A w tem na okno wzrok jego padł,
 Chciałby uciekać z tej celi,
 Ale tak słaby już dzisiaj był,
 Że wspiąć się już nie ośmieli.

Wtem wzrok swój rzucił na wierny róg,
Popod kolana spuszczone,
I przyłożywszy wnet go do ust,
Trzy słabe wydał tony.
Rychło usłyszał to Mały Dżon,
Spoczywający w lesie:
„Panu mojemu śnać grozi śmierć,
Za słabo się dźwięk ten niesie.“
I w stronę Kirkleys popędził Dżon,
A gdy przybiegnie skory,
Wnet w Kirkleyhallu potrząsa dwie
Albo też trzy zawory.
I przed Robinem, ujrawszy go,
Upadnie na kolana;
„O, niechże jedna,“ rzekł Mały Dżon,
„Łaska mi będzie dana!“
„A jaka łaska?“ zapyta się,
„Powiedz mi, czem cię ucieszę?“,
„Pozwól mi spalić ten Kirkleyhall
I tę zakonnic rzeszę.“
„O nie, o nie!“ rzekł Robin Hood,
Tego ci nie uczynię!
Nigdy nie wieście nie zadał krzywd,
Ani tej jej drużynie.“
„Nigdy nie skrzywdził kobiety, wiedz,
I w tej nie skrzywdzę porze,
Ale do ręki podaj mi łuk,
Niech mi zaświszcze, jak może,
A gdzie upadnie mój belt, tam grób,
W którym na wiek się położę.“

„Z zielonej darni zgotujcie wnet
Leże dla nieboszczyka,
Niech trawa świeża i moich stóp
I mojej głowy dotyka:
U boku złożcie mój drogi łuk,
Co dźwięczał mi jak muzyka.“

Długi, szeroki niech będzie dość
Ten mój grobowczyk świeży,
By po mej śmierci powiedział świat;
„„Robin Hood tutaj leży.““

JEFTA, CZYLI

II. STAROANGIELSKIE BALLADY, LEGENDY I PIEŚNI, WZMIANKOWANE LUB PARAFAZOWANE W DRAMATACH SZEKSPIRA.

JEFTA, SĘDZIA IZRAELSKI.

Wiecie o Jefcie, iż sądy on

Wśród Izraela sprawował?

Córkę jedyną miał w domu swym,

Którą też wielce miłował.

I stał się los,

Na włos,

Jak chciał tego Bóg —

Ten-ci jest bieg naszych dróg:

Wojna się wielka rozszalała srodze

I jego wodzem wybrano nad wodze.

A gdy tak sędzią mianowan był

I wojska najpierwszym hetmanem,

Przysiągł przed Bogiem, że jeśli w dom

Wróci z zwycięstwem wygranem,

Do ognia on

Na skon

Pierwszą da żywą rzecz

(Pod ofiarniczy miecz),

Z którą się spotka, spokojnie,

Po tej zwycięskiej powróciwszy wojnie.

To też, gdy bój się zakończył już,

A on, pobiwszy wroga,

Zjawił się w domu, witała go

Jedyna córka droga.

I zabrział wnet

Bęben i flet —

Tak córka ta

Radośnie gra,

W takie uderza tony,
Że wreszcie ojciec wrócił upragniony.

Lecz gdy zobaczył, że córka to
Pierwsza go powitała,
Załamął ręce, rwał sobie włos,
I krzyczał, szalony bez mała:
„To ty mnie ach!
Topisz w tych łzach!

Żale

Sprawiasz, że nie wiem wcale
Co czynić w tym moim szale!

Przysięgę-m złożył“ (tak rzecze on)
„Której dotrzymać muszę,
(Bo wszak inaczej, powiedział Pan,
Zatracisz swoją duszę!“)

Co rzekłeś raz,
Dotrzymaj w czas,
Bacz na swój ślub,
Jak trzeba, zrób:
Twa droga:
Wiernym być wobec Boga!

Lecz, ojcze, wielką mi łaskę daj;
W pustynnej ukryję się dziczy,
Chcę opłakiwać miesiące trzy
Ten młody wiek mój dziewiczy.
Zwól, ojcze ty,
Że pójdziem my,
Dwie albo trzy
Ronić tam łzy!
I ojciec jej zezwoli
Iść tam i płakać i płakać swej doli...

O WIERZBO, WIERZBO, WIERZBO.

I.

Pod wierzbą siadł biedak — duszyczka stroskana,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Dłoń złożył na piersi, a skroń na kolana,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

I wzdycha, zawodząc i płacze i jęczy;

Ty wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Straciłem mą lubą, o jak mię świat męczy;

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Odeszła mnie luba, niewierną się stała;

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Nic nie mam już po niej, nienawiść w niej pała.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Żalujcie mnie wszyscy, o wy zakochani;

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Jej serce jak marmur, mój ból jej nie rani;

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

I zimne łzy leje, łez pełne ma oczy,

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Łez słonych mu strumień po licu się toczy;

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Ptak usiadł milczący, nie przérwał tej głuzy —

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Oswojon łzą jego, co głązy poruszy.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Nie łajcie mnie, ludzie! Tak na to ona jest ona —

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Ażeby być piękną, me serce niech kona;

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Przecz schron swój w piękności ma serce tak twarde?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Mą miłość kópnęto na pośmiech i wzgardę.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Niech miłość nie puszy się w dworze ni chacie —

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Ucieka jak prędko! Niestalość jej znacie.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Lecz cóż mi ta rozpacz, co krwawi mi duszę?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Spokojnie jej wzgardę i gniew jej znieść muszę.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

O wy zapomniani, przychodźcie tu do mnie!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Lecz kogo z was miłość tak zwiódła ogromnie?

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Gdy uszła ma luba, mam wieniec wierzby —

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Dla serc pogardzonych, to wieniec jedyny.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

II.

Tak leżeć przy trosce, tak dźwigać rozpacz!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Zbyt ona jest sroga, dlatego wciąż płaczę.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Tak ranić niesłusznie me serce! To boli!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Tak znosić jej trjumpf, jej radość z mej doli!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona, swój wieniec!

O wierzbo, ty wierzbo! Z wierzby ty wianku!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Jej zdrady przed sobą mam znak bez ustanku.

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

O, jeśli mam zginać w rozpacz bezsile,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Ten wieniec mi złóżcie na mojej mogile —
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Polóżcie go, druhy, na moim tym grobie,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
By każdy jej zdradę pamiętać mógł sobie.
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

I niech mi takiego napisu użyczą:
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
„Tu leży, co jadu się poił słodyczą.“
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Choć tak mi zdeptała miłości nadzieje,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Choć z moich się bólów bez troski tak śmieje,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Nie będę jej darzył przekleństwem niemiłym,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Bom kochał ją kiedyś i imię jej czciłem!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Jej imię swym dźwiękiem napelnia mi uszy —
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Jak promień, tak wnika do wnętrza mej duszy!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!

Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Dziś bolem jest dla mnie, a była ukojem,
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Radością w dniach przeszłych, nieszczęściem dziś mojem!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

Skończ, trosko się moja! Niewierna, bądź zdrowa!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Choć gubisz kochanka, miłości-ć dochowa!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
O wierzbo, wierzbo, wierzbo!
Śpiewa: Daj wierzbo zielona swój wieniec!

WDZIEJ-ŻE NA SIEBIE KUBRAK STARY.

Ta zima strasznie nam dokucza,
Po wzgórzach wszędzie wielkie mrozy,
Boreaszowa rwie się tucza,
Bydło nam szczerźnie od tej grozy.
I żona Baśka tak mi rzecze,
Jako, że obce są jej swary:
Daj spokój krowie, mój człowiecze —
Weź-że na siebie kubrak stary.

On: Poco się, Basiu, ze mną wadzić?
Wiesz, że mój kubrak w same łaty,
A krowie nic już nie poradzić,
Ledwie się wlecze nie żal straty!
Nie myślę już pożyczać dłużej,
Chcę mieć okrycie, zamiast krowy;
Jutro się zbiorę do podróży,
Nareszcie kupię kubrak nowy.

Ona: Krowa cisula, krowa grzeczna,
Bardzo przyjemna jest przy cebraze,
Sera i masła dość, jest mleczna,
Tak, że ją mając, człek nie żebrze.
Nie chciałabym jej widzieć głodnej,
Słuchaj mej rady, błagam ciebie,
Nie dla nas przecie strój zbyt modny,
Więc kubrak stary weź na siebie.

On: Kubrak był dobry, bardzo proszę,
Uznałyby go i przechery.
Kto da za niego dziś dwa grosze?
Lat go czterdzieści mam i cztery.
Kiedyś z barwionej był on wełny,
Lecz dzisiaj nikt w to nie uwierzy,
Nie zniesie deszczu, szmat zupełny,
Potrzebny mi jest kubrak świeży.

Ona: Czterdzieści cztery my się latek,
Znamy ze sobą nie najgorzej,
Wychowaliśmy dziewięć dzieciąt,
Albo też dziesięć z łaski bożej,
Wychowaliśmy je na ludzi,
W bojaźni Pana, bez przywary;

Niech się sumienie twe obudzi,
Weź-że na siebie kubrak stary.

On: O żono Baško, przestań gderać!
Wczoraj był worek, a dziś płachta:
Trzeba się trochę w świat pozierać,
Jak się ubiera dzisiaj szlachta:
W suknie zielone, żółte, szare,
Każdy ma, widzisz, barwy swoje:
Raz w życiu chcę być na ich miarę
I w nowy kubrak się przystroję.

Ona: Król Stefan nie był też z hołoty,
A przecież żaden marnotrawca,
Za portki płacił ledwie złoty,
I jeszcze łajał swego krawca.
On był człowiekiem wielkiej sławy,
A tyś biedakiem; są przywary,
Co niszczą kraje, bądź więc prawy
I weź na siebie kubrak stary.

On: Ma żona Baška zwad nie lubi,
A jeno chce mnie za nos wodzić,
Że zaś niepokój człeka gubi,
Więc się poddaję, trza się zgodzić.
Jestem człek dobry; nie z babami
Prowadzić wojnę, a w tym czasie
To ustępujemy pierwsi sami,
Więc stary kubrak wezmę na się.

PODSTARZAŁY LOWELAS ZRZEKA SIĘ MIŁOŚCI.

Za młodu, gdy mówię, kochałem,
Prawdziwe to było wesele;

Czas spędzać dowolnie, jak chciałem,
Dobrego w tem było wiele.

Rozkosze mnie opuściły,
Mych rojeń już nic nie dogoni,
Dzień przeszedł o jakże miły,
Włosy siwieją na skroni.

Wiek, co tak cicho się skrada,
W pazury mnie chwycił zdradnie,
Jakby swą własność, o biada!
Młodość mi moją kradnie.

Wczasy mi schodzą ponuro,
Inaczej się przedtem działo,
Ręka się trzęsie i pióro,
Dawniej trzymałem je śmiało.

Umysł mnie już odchodzi,
Dzień każdy szydzi ze mnie;
Nic cię już, nic nie odmłodzi,
Rzuć te zabiegi! Daremnie!

Te zmarszczki na mej łysinie!
Te bruzdy na twarzy człowieka!

Wiek chromy gnieździ się we mnie,
Skąd młodość precz ucieka.

Już śmierci widmo złowieszcze
Zajeżdża, widzę, po mnie,
Ten kaszel, ten oddech, te dreszcze
Świadczą już o tem niezłomnie.

Już rydel mi i motyka
I całun jest przeznaczony,
Gościom się takim odmyka
Z gliny domeczek płony.

Zda mi się, że widzę księdza,
Że słyszę już dzwon ponury,
Że to mnie do grobu zapędza
Nim przyszedł rozkaz Natury.

Suknię mi szyją taką,
W jakiej nikt z młodych nie chodził,
Jest ona dla mnie oznaką,
Jakbym się nigdy nie rodził.

Nosiłem godła młodości,
Dzisiaj z nich czynię ofiarę:
By nie obciążać mych gości,
Pustą im daję czarę.

Patrzcie, ta czaszka: widomy
Znak to ten czerep zleniały,
Że wszystko wiek sprzątnął chromy,
Co młode lata posiały.

Piękność wraz z družki swemi —
Przez nią ta troska podła,
Ona mnie wiedzie do ziemi,
Z której mnie dotąd przywiodła.

A wy zaś, wielcy i mali,
Pociescie tem się sownie,
Że z prochu wyście powstałi
I w proch się też obróćcie.

SIR LANCELOT DU LAKE.

Gdy Artur objął królewski dwór
I władcą był zatwierdzony,
Wielkie zwycięstwo wnet odniósł on,
Bogate przyniósł plony.

Wrócił natychmiast w angielski kraj
W swoich rycerzy kole:
Pięćdziesiąt miał ich, siadali z nim
Przy jego „Okrągłym Stole”.
Turnieje on na dworze swym
Urządzał i krotochwile,
Niejeden rycerz zwyciężon padł,
Niejeden zabłysł w swej sile.

Ale na czele wśród wszystkich był
Sir Lancelot du Lake.
Czy to w gonitwie, czy w bitwie on
Najpierwszą brał odznakę.

Ale raz jeden rzuciwszy gry,
Zabawy i zawody
Mówił, że właśnie poszukać ma
Zabawnej gdzieś przygody.

I uzbrojony pojechał w bór
I spotkał pannę nielada:
Wielce ją słucha, gdy wielkie mu
Przygody opowiada.

„Po nie tu-m przybył”, rzekł Lancelot,
„Pragnąłbym poznać ich władzę”
A ona: „Rycerz znać jesteś cny,
Ja cię tam zaprowadzę.

Potężny rycerz zamieszkał tam,
Daleko znan i blisko,
Dla tego powiedz, co zacz jesteś ty,
I jakie jest twoje nazwisko?”

„Sir Lancelot du Lake”, rzekł.
„I owszem, tak ona powie,

„Rycerz tu mieszka, którego śnać
Nie znają władcybojowie.

Sześćdziesiąt czterech poranił on,
Trzyma ich w kaźni pospołu,
Króla Artura rycerze to
Od Okrągłego Stołu”.

I powiodła go nad rzeki brzeg,
Pod drzewo przyprowadziła,
Miedziany kocioł widziałeś tam
I tarczy przeróżnych siła.

On tak weń rąbnie, aż kocioł pękł:
I Tarkwin ku niemu zmierza,
Z koniem przed sobą, na którym miał
Przywiązanego rycerza.

„Panie rycerzu”, sir Lancelot rzekł,
„Zdejmij to z konia brzemie”
I zbliż się ku mnie — spróbujmy się —
Na udeptaną ziemię.

Bo, jakom słyszał, o ile moc
Twoja wykonać zdoła,
Niejedną hańbę zadałeś tym
Od Okrągłego Stoła”.

„Od tego Stoła jeśliś i ty”,
Tak Tarkwin mu odpowie,
„Zginiesz, a z tobą i wszyscy ci,
Co twoi są druhowie”.

„Tego za wiele”, rzekł Lancelot,
„Dalej! Dobywaj broni!”
I z kopijami ruszą koń w koń,
Jeden przed drugim goni.

I kopijami — rumaki ich
Jak błyskawice gnały —
Uderzą w tarcze, że te się snać
Rozpadną na kawały.
Konie przed nimi złamały grzbiet,
Zdumienie ich ogarnęło,
Lekko zeskoczą z bachmatów swych
By, stojąc, kończyć dzieło.
Co tchu pod tarcze chowają się,
Co tchu wyciągną miecze,
Jeden drugiemu wymierza cios
Snać ponad siły człecze.
I, obaj ranni, zmęczyli się;
Brak tchu im sprawiał mękę,
Przeto, oparłszy się na swój miecz,
Rzekł Tarkwin: „Wstrzymaj rękę!
Na me pytanie odpowiedź daj.“
„Mów“ Lancelot do niego.
„Dużo rycerzy“, rzekł Tarkwin „znam,
Lecz nie znam mężniejszego.
Mój nienawistny tak patrzył wróg;
Że nim nie jesteś, mów szczerze,
A ja uwolnię dziś druhów twych,
I zawrę z tobą przymierze.“
„Dobrześ powiedział“ rzekł Lancelot,
Lecz jeśli tak się ma sprawa,
Do nienawiści jakież to wój
Powody twoje dawa?“
„On się Lancelot du Lake zwie,
Zabił mojego brata:

Chciałbym go dzisiaj przed sobą mieć,
Myśl o nim mnie przygniata.“
„Życzenie twoje spełniło się,
Jam Lancelot du Lake,
Zna mnie Artura Okragły Stół,
Mój Ojciec król Hands z Schuwake.
A tobie życzę, ażebyś szczezł.“
„Ho, ho“, rzekł Tarkwin, „ninie,
Zanim ze sobą rozstaniem się,
Jeden z nas dzisiaj zginie.
Jeśliś Lancelot du Lake, wiedz:
Rad tutaj widzę ciebie.
Wyzygam ciebie! Więc broń się, broń,
Rychło cię tu pogrzebie!“
I tak ci obaj gotują się,
Jakby iść mieli na zwierza,
Jeden drugiego, tarcz w rękę i miecz,
Niby jak w dzika, uderza.
Ziemię naokół zrosiła krew,
Tarkwin się słaniać pocznie,
Zaledwie zdoła unieść swą tarcz,
Zmęczony jest naocznie.
Sir Lancelot spostrzegłszy to,
Odrazu jest nań gotowy,
Wnet na kolana rzuci, wnet.
Szyszak mu strąci z głowy.
Na dwie mu części rozwali kark,
A gdy to sprawił, pobieży,
Ażeby z kaźni uwolnić tych,
Sześćdziesiąt czterech rycerzy.

KRÓL KOFETUA I ŻEBRACZKA.

Czytałem, że możny w Afryce pan
Za dawnych władał stuleci,
Król Kofetua, bo tak był zwan,

Jak o tem piszą poeci.
Innego, niż moje był zdania:
Natury praw łżyć się nie wzbrania,
Kobiety od siebie odgania,

Z pogardą li do nich leci.
Lecz co też mu się nie zdarzy,
Gdy, w oknie leżący, marzy,
Zobaczy nędzarkę z nędzarzy,

W stroju ze szarych rupieci.

I ślepy chłopiec z nieb spadnie w lot,
Sięgnie do swego kołczana
I celny z łuku wymierzy grot

Wprost w leżącego pana.
A on, skoro uczuł, iż strzała
Wręcz mu się w serce wkrajała,
Z bólu nie umarł bezmała,

Tak krwawa była to rana
„Jakto“, pomyślał sobie,
„Czy mam ja uledez chorobie,
Co w całej żywota dobie

Była li z wzgardy mi znana?“

Przeto natychmiast od okna wstał
I w łóżko się położy,
A trosk tysięcznych okrutny zwał

Oblega go i trwoży.
To chce poślubić niebogą,
To myśli, jaką się drogą

Znajść inne środki mogą,

By tej uniknąć obroży:
Lecz tak nim Kupido owładnie,
Że tylko żebraczka snadnie,
Jak go wyleczyć, zgadnie,

Inaczej Śmierć grób mu otworzy.

A gdy tak leży na łożu swem,
Z myślami walkę toczy,
Jakby się złączyć z dziewczęciem tem,
Co poraziło mu oczy.

„Me życie zawisło od ciebie,
Mą będziesz, jak Bóg na niebie,
Lub nóż ten w sercu zagrzebię,

Niech krwią je na wieki zboczy!“

I potem porzucił łoże
I zleci, by się na dworze
Zjawilo dziadostwo — nieboże,

Do niego z żalami niech wkroczy.

„Boże! Majestat królewski chroń!“

Tak zawołają dziady;

„Ty królu hojną ukaż nam dłoń

Dla naszych dziełek gromady!“

Król sakiew rzuci tej nędzy,

Dziadowie odeszli coprędzej,

Zaś dziewczę w tej szarej przędzy

Poszło ostatnie w ich ślady.

Król ją zawoła z powrotem,

Da jej swój łańcuch i lotem

Rzeknie: „Zostaniesz! wiedz o tem,

Niema już na to rady!

„Masz“, tak jej powie, „mą żoną być,
Moją królową cię zrobię;
Długo czy krótko, ja pragnę żyć,,

Do samej śmierci przy tobie.
Wnet przygotuję wesele,
Wszystko, co trzeba rozdzielić,
Chodź, przebierz się, aniele,

W kosztownej się ukaż robie.
A jak się ma piękna zowie?“
„Penelofona“, odpowie,
I skłoni się po tem słowie —

Układnie, tak myślę sobie.

I tak pod rękę, miłości wzór
Udali się do pokoju.

I król rozkaże, aby ją dwór

Powitał, jak przystoi.

Z żebraczką cóż to się dzieje?

To błędnie, to czerwienieje,

A taki dziw ją owieje,

Że słówko przemówić się boi.

W końcu trzęsącym głosem

Rzeknie: „O Królu, żeś bosem

Nie wzgardził dziewczęciem, tym losem

Cieszę się w duszy swojej.“

A kiedy nadszedł dzień ślubu już,

Król swym dworzanom rozkaże,

By przy królowej stał pazik-stróż,

By godnie spełniono strażę:

A ona śmieje stawia nogi,

Jakby nie z tamtej przyszła drogi,

Obcy stał się jej strój ubogi,

Wspomnienie w niej się maże...

Tak ksiądz — przysłowie jak mówi stare, —

Że był klerykiem, nim Ofiarę

Mógł spełniać, stracił wiarę,

Tak go zmieniły ołtarze.

Tak Kofetę powalił z nóg —

Tu macie to opieśnione —

Ślepego chłopca zbyt celny łuk,

Aż wziął żebraczkę za żonę.

On, co w swym całym gardził bycie

Miłością, dzisiaj, słyszycie,

Gotów był za nią dać życie,

Tak mówią ci słowa me płone.

Ty nie gardź niemi, Pani,

Weź je od sługi w dani,

Coby-ć dać życie, jak dla niej

Królby swą oddał koronę.

Tak-ci swój żywot przebyli wspólny,

W czas królewskiego władania;

W wspólny ich także złożono dół,

Jak w księgach jest do czytania.

Przejeli się śmiercią wielmoże,

Damy lżą rosą łoża,

Płakano we wsi i dworze,

Wszystko się z bólu ślania.

Sławne tak były ich losy,

Że wokrag o nich głosy

Pod gwiazdne szły niebiosy —

Chwała ich panowania.

KRÓL LIR I JEGO TRZY CÓRKI.

W kraju tym władał ongi król Lir
Z potęgą i spokojem,
Posiadał wszystko, co tylko mógł,
Czuł radość w sercu swoim.
Ale ponadto on jeszcze miał
Między darami natury
Przewyższające pięknoscią świat
Trzy najpiękniejsze córy.

Pewnego razu uchwalili król
Jedną się zająć sprawą:
Która na niego z onych trzech cór
Najbardziej jest łaskawą.
„Lata me idą, przeto“, tak rzekł,
„Słuchajcie mojego słowa:
Wierność największą która mi z was
Zachować jest gotowa?“

Powie najstarsza: „Ty ojczyźnie mój,
By ci posłużyć w potrzebie,
W obliczu twojem i swąbym krew
Wylała chętnie dla ciebie.
Niech się zakrwawi to serce me,
Niech-że mi pęknie na dwoje,
Byleby tylko twych starych lat
Najmniejsze nie żarły znoje.

„I ja“, tak powie ta druga z cór,
„Dla ciebie, mój ojczyźnie luby,
Rada się poddam wszelkiemu złu
Choćbym doznała zguby.
Służyć ci będę i dzień i noc
Troskliwie i miłośnie,

Niechże twój spokój i szczęście twe
Bez żadnych przeszkód rośnie.“

„Czyniąc tak“, rzecze podeszły król,
„Mą radujecie duszę.
A teraz, jaka jest miłość jej,
Najmłodszą zapytać muszę.“
Powie Kordelja: „Ta miłość ma,
Którą poświęcam ci, panie,
To obowiązek jest dziecka i nic,
To całe moje wyznanie.“

„Jakże go spełnisz“, odrzeczł on,
„Jeżeli nie masz nic więcej?
Widzę, że wątplą jest miłość twa
Ten obowiązek dziecięcy.
Przeto cię z domu wypędzam precz,
Dziecka nie widzę w tobie
I ani z krztyń tych dzierzaw mych
Udziału twego nie zrobię.

Większa jest miłość twych starszych sióstr,
Bym się namyślał choć chwilę,
Komu po równi mam władztwo dać
I mych obszarów tyle.
Cały bogaty dobytek mój,
Te moje cenne kraje —
Wszystko twym siostrom na zawsze dziś,
Póki żyw jestem, oddaję.“

Do serc przypada tym siostrom dwom
Ta schlebająca pochwała,
Trzecia niesłusznie wygnana precz,
Choć miłość znaczniejszą miała.
I tak cierpliwie rzuciła dom

Biedna Kordelja nieboże
I bez pomocy błakała się
Po różnym angielskim dworze.
W końcu szczęśliwszą znalazła schron
W sławnej francuskiej ziemi,
Bo, choć uboga, ujrano w niej
Najpierwszą pomiędzy wszystkimi.
I gdy o wdziękach jej słyszał król
I o jej cnocie, z gotową
Zgodnością dworu uczynił ją
Małżonką i królową.
Tymczasem bawił ojciec, król Lir,
Między córkami dwiema,
A że nie pomne przyrzeczeń swych
Więc u nich szczęścia nie ma.
Gdy żył na dworze najstarszej z nich,
Onej królowej Ragany,
Ta z pierwszych środków obdarła go
Zmniejszyła poczt przyznany.
Dwadzieścia kolan zginało się
Przed nim, a ona mu zasię
Wzięła dziesięciu, a potem, trzech
Pozostawiwszy, po czasie
I ostatniego zabrała mu,
Myśląc, że dobry król wtedy
Ten jej na zawsze porzuci dwór,
Takiej doznawszy biedy.
„Taką zyskałem“, powiedział on,
„Nagrodę od moich dziątek,
Że dziś na żebry zmuszonym iść
Za ten mój cały dostatek.

Więc do drugiego chcę dziecka, wiem —
Chcę pójść do Gonerelli
Więcej litości jej serce ma
Ukoju mi udzieli.“
Idzie coprędzej na tamtej dwór,
Lecz ona na jego żale
Wręcz mu odpowie, że biedna jest,
Że nie ma środków wcale.
Lecz jeśli zechce do kuchni iść —
Tak ona do niego woła, —
Wówczas pożywić się może tem,
Co spadnie z kuchcików stoła.
Słyszac to gorzką zalany łzą,
Tak, mówiąc sobie, narzekając;
„Przecż ja mam takim przykładem być
Dla wszelakiego człeka?
Wróć, powiada, powróć znów,
Do mej Ragany, do córy,
Ona mnie przyjmie, nadzieję mam,
Nie w taki sposób ponury.
Ale gdy przyszedł, rozkazy jej
Za próg go wypędziły:
„Rzuciłeś dom ten“, tak rzekła mu,
„Choć pobyt w nim był ci miły.“
I w utrapieniu ten biedy król
Wrócił do Gonerelli,
Ażeby w kuchni żywić się tem,
Czego mu kuchta udzieli.
Lecz odmówiono mu tego dziś,
Co obiecano wczora,
Gdy raz porzucił ten domu próg,

Więc dzisiaj fora ze dwora!
Tak miast nagrody od dwóch swych cór
To w tę, to w tamtą laźl stronę,
Z wyżebranego był chleba rad,
On, który nosił koronę.
I oto słowa najmłodszej z cór,
Zbudziły mu się w pamięci,
Że miłość dziecka jedyna jest
Gdy obowiązek ją święci.
Ale czy może przeprosić tę,
Którą tak wygnał bez cześci?
Przeto oszalał, gdyż w duszy swej
Tyle miał krwawych boleści.
To potargało mu biały włos,
Rozwiało mu go u czoła,
Krwia zaszyły lica, godność i wiek
O zmiłowanie woła.
Lasom i górcom i źródłom wód
On swoje skargi niesie,
Aż się zdawało, że znalazł wtór
W górach i źródłach i lesie.
Potem do Francji zwrócił swój krok,
Pod taką grozą rozpaczy,
Myśląc, że może Kordelja tam
Godnie go przyjąć raczy.
Szlachetna Pani! Bo gdy o łzach
Swojego ojca się dowie,
Wnet z obowiązku pośle mu lek,
By mu powrócić zdrowie.
Szlachetnych panów orszak mu szle,
W najdostojniejszym doborze,

Aby natychmiast mógł zjawić się
Na Aganippa dworze.
Usłyszał król to i wnet się z tem
Duch jego zgodził prawy.
Rozpoczął wojska sposobić swe
Do męstwa i do sławy.

Tak pospieszyli w angielski kraj:
Króla odebrać chcieli,
Z tronów postrącać te córki dwie
I wziąć je dla Kordelji.
Lecz ta umarła, najlepsza z pań,
Poniosła śmierć na wojnie,
Król Lir zaś dożył na stare dni,
Że władał znów spokojnie.

Lecz gdy usłyszał tę smutną wieść,
Że zmarła Kordelja, co przecie
Z miłości k'niemu wszczęła ten bój,
Straszna go rozpacz zgniecie.
Padł na jej łono i nigdy już
Do góry nie powstał więcej,
A jeno życie zostawił swe
Na wiernej piersi dziecięcej.

Szlachta i pany, gdy taki kres
Wydarzeń zobaczyli,
Na śmierć skazali te siostry dwie —
A wszyscy zgodni byli.
Zaś krewniakowi dostał się tron,
Osierociałe korony...
Ten-ci upadek zlej pychy jest,
Te nieposłuszeństw plony.

GERNUTUS ŻYD WENECKI.

Część pierwsza.

Za lat niedawnych wenecki gród
Miał żyda w swoim obszarze,
Co lichwą żywot opędział swój,
Jak piszą włoscy pisarze.

Gernutus zwał się ten srogi żyd,
Niemyślał nigdy o śmierci,
A gdy napotkał nędzarza gdzie,
Nie dał mu kromki ni ćwierci.

Żył tak na świecie, jak w chlewku wieprz,
Pędzący żywot swój w brudzie,
A dobro tylko świadczący w czas,
Gdy go zabijają ludzie.

Lub był jak zgniły plugawy gnój,
Co zapaskudza okole,
A jeno wówczas na coś się zda,
Gdy go wywiozą w pole.

Zaś taki bywa lichwiarza los,
Że nie ma spokoju we śnie,
Lęka się bowiem, by złodziej w noc
Nie spłoszył go niewczesnie.

W duszy li o tem on myśli wciąż,
Jakby zysk ciągnąć z bezprawia,
Choć łajna w gębie ma ciągle dość,
Wciąż ją o więcej rozdziawia.

Żona w pożyczki gdy złoty da,
Co tydzień bierze dwa grosze,

Zastaw zaś winien podwójny być,
Jeśli ją o coś poproszę.

A trzeba, mówi, dotrzymać dnia,
Inaczej masz stratę gotową!
Taki to żywot tej żony był —
Zwała go dojną swą krową.

Żył sławny kupiec w stolicy tej,
Którego zdjęła pokusa,
Ażeby, będąc w potrzebie pójść
Do domu Gernutusa.

„Okaż mi przyjaźń, tak mówił doń,
I na dwanaście miesięcy,
I dzień sto koron pożyczyć chciej,
Oddam ja za to ci więcej:“

Cokolwiek tylko zażądać chce,
Że nawet zastaw dostanie.
„Nie!“ z płomieniącym rzekł okiem żyd,
Powiedz mi, czego chcesz, panie?

„Ani ja grosza nie myślę wziąć
W procencie za twoje długi,
Tylko mi jednej, nim skończę dni,
Racz nie odmówić przysługi.

Aby się w słowa nie bawić czeze,
Krótco się sprawię w tym względzie:
Chcę,“ rzekł, „mieć zastaw, a zastaw ten
Hojny i trudny będzie.

Taka poręka, że z ciała funt
Własnego dasz wykrojony,
Jeżeli zgoda, daj oblig mi,
A tu masz swoje korony.“

„I owszem, zgoda,” tak kupiec rzekł.
I oblig spisano coprędzej. —
Minął dwunasty miesiąc i dzień,
Nadszedł czas zwrotu pieniędzy.

Kupiec na morzu swe statki miał,
Lecz żaden z groszem nie wrócił;
Czego się chwycić, co czynić z tem,
Tak on się porał i smucił.

I w Gernutusa udał się dom,
Kornie się udał w te pędy.
I z czapką w rękę, tak błagać jął:
„Pokaż mi, Panie! swe względy.

Nie mam pieniędzy, nadszedł mój dzień,
A czem zapłacę, nie wiada,
Dla tego użycz mi łaski swej,
Niech termin mój nie przepada.“

„O całem sercem,” Gernutus rzekł.
„I weź to sobie do głowy:
W rzeczach ważniejszych, niżeli ta
Zawsze ci będę gotowy.“

I kupiec odszedł. Gdy minął dzień
Gernutus ni chwili nie zwleka,
Jeno żołnierza posyła poń,
Ażeby pojmać człowieka.

I do więzienia wtrącić go dał
I żądał obligu bez zwłoki,
A kiedy roków zbliżył się czas
Kazał go przywieść na roki.

Niejeden z kupca przyjaciół w płacz,
Albowiem wiedziano wszędzie,

Że nic innego, a tylko śmierć
Końcem tej sprawy będzie.

Część druga.

„O srogości żydowina”: okazuje litość żyda wobec kupca. Na
nutę *Black and Yellow* (Czarne i żółte).

Jeden od razu za koron sto
Całe ich pięćset stawiał,
Inni znów tysiąc i dwa i trzy,
Ale ten ciągle odmawiał.

Dziesięć tysięcy gotowi dać,
Taka to była ochota,
Wybawić druha, Gernutus rzekł,
Że chce obligu, nie złota!

„Żądanie moje: chcę ciała funt,
Tak było umówione.“
„Lecz z jakiej części ja wyciąć mam,
W jaką ugodzić stronę,

Aby przy życiu pozostał on?“
Tak sędzia się zapyta.
„Czy tak, czy owak? Masz koron sto,
Bądź kontent z tego myta.“

„Nie! nie!“ żyd odrzekł: „jeden jest sąd,
Innego niema wyroku!
Pragnę otrzymać ten mięsa funt,
Wyjęty z prawego boku.“

Boleśnie odczuł i druh i wróg
Tę twardą srogość żyda;
Widzieli wszyscy, że biedny człek
Krew swą na pastwę wyda.

I, gotów, ścisnął już ostry nóż
W ręku żydowin surowy,
By niewinnego wytoczyć krew,
Że nie dotrzymał umowy.
A kiedy chciał już powalić go
Swem uderzeniem krwawem,
„Wstrzymaj swą srogość!” Tak sędzia rzekł,
„Każę ci to mem prawem.
Jeśli ma oblig spłacony być
Tym funtem jego ciała,
Bacz dobrze na to, aby się krwi
Ni kropla nie polała.
Bo jeśli tutaj popełnisz mord,
Jest szubienica gotowa,
Nie więcej ciała też wyciąć masz
Niżli stanęła umowa.
Bo gdy wykroisz chociażby kęs
Mniej albo więcej, niż waga,
Na szubienicy zawieszysz w lot,
Nic prawa nie prześlaga.“
Gernutus wściekł się, nie wiedział nic
W swem sercu szalejącem,
Co ma uczynić, a w końcu rzekł:
„Wykupi się koron tysiącem!”
„Nie!” Taką sędzia odpowiedź dał.
„Ani ci grosz nie przypadnie!
Jak umówiony był oblig ten,
Spełnić go trzeba dokładnie.“
W końcu chciał zwrotu pożyczki swej.
„O, nie dostaniesz! na nieba!”

Powiedział sędzia, „wszak prawo jest,
Prawo szanować trzeba!

Albo funt ciała ze sobą weź,
Albo też przemaż umowę!”
„O srogi sędzio!” żydowin rzekł,
Czyhasz na moją głowę!”

I tak ze sercem zbolałem żyd
Z wszystkimi się rozstanie.
A gdy się o tem dowiedział lud,
Zawołał: „Chwała, ci Panie!”

Dobry narodzie, co znasz tę pieśń,
Powiem ci jedno jeszcze,
Że do dzisiejszych wciąż żyją dni
Takie gadziny złowieszcze.

Czyhają tylko na miększych[?] łup
I jaką zdobyć go drogą;
Aby niewinne ofiary zgnieść,
Czynią, co tylko mogą.

Niechaj przed nimi strzeże mnie Bóg
I wszystkie chrześcijany,
A tym, co gnębić chcą, jak ten żyd,
Los jego niech będzie znany.

ROBIN WESOŁY PSOTNIK.

Od Oberona, z czarownych niw,
Od duchów i mroków króla,
Polecę, Robin, szalony dziw,
Chcę widzieć, jak w nocy się hula.
Popędzę stąd
W każdy się kąt

Weisnę, powiadam wam to;
 Zabawę znam,
 Więc będę sam
 Bawił się — ho, ho, ho, ho!
Od błyskawicy szybszy mój lot,
 Wszystkie obłoki roztrąca,
Widzę od razu co robi miot
 Wszelaki w blaskach miesiąca.
 Rozbiję w puch,
 Gdy jaki duch
 Albo skrzat piśnie choć co;
 Robina znaj!
 Spieszę w ten gaj
 Rozpędzę ich wnet — ho, ho, ho!
Gdy szajkę kumów spotkam i kum,
 Jak z nocnej wracają zabawy,
Chytrze pozdrowię ten cały tłum,
 Do wspólnej go zmuszę wyprawy
 Przez las i staw,
 Przez rzeki wpław.
 Lub niewidzialny, jak źdźbło,
 To szarpnę włos,
 To prztyczka w nos —
 Ucieszenie to będzie — ho, ho!
Czasem im drogę zajdę, jak człek,
 To w psa się przedzierzgnę lub wołu,
Albo też w konia — znam koński bieg —
 I trap! i trap! z nimi pospołu.
 Lecz zwałbym już,
 Jak burza burz,
 Gdyby mnie dosiąść chciał kto,

 Przez płot i rów
 Pognałbym zdrów
 I śmiałybym się ho, ho, ho, ho!
Panie i panny, łykając wikt —
 I winko i swe „ostypki“,
Ani spostrzegą — nie ujrzy nikt! —
 Jaki apetyt mam szybki.
 I jest coś wart
 Mój dech i piard —
 Zdmuchnę im świece i co?!
 I dziewczki w płacz:
 Ach! ach! co zacz
 Całuje nas? Ho, ho, ho, ho!
Umiem się pannom we znaki dać;
 W nocy potargam im wełnę,
Powikłam przedzę, gdy pójda spać,
 Z włókienek strzępki zupełne!
 Będę im mleć
 I robić sieć,
 I do kądzieli, że no!
 O nie! — o nie!
 Nie schwycić mnie:
 Uciekam ze śmiechem, — ho, ho..
Jeśli niechlujny, czy dom czy pies,
 O, dam ja im farbę świeżą!
Umiem ja z łóżka z pod koldry zwlec,
 Niech sobie naguśkie leżą,
 A potem w sień
 Na mróz! niech leń
 Wie, jak się każe za zło!
 A gdy te w krzyk,

Popsują szyk:
Z śmiechem, jak w dym — ho, ho, ho!

Chce kto pożyczki? I owszem, dam!
Bynajmniej o to nie stoję!
Procentów żadnych nie trzeba nam,
Oddaj mi tylko, co moje!

Lecz jeśli wiesz,
Zaprzeczyć chcesz
Znajdę-ć lekarstwo ja to:
W kaździutką noc
Wyrzutów moc
Brak tchu i snu — ho, ho, ho!

Kiedy się lubią mizdrzyć i gnić
Rozpróżniane gamratki,
Gdy na obmowach — mam na nie wić! —
Ostrzą języczek swój gładki,
Umiem ja wieść
Skrzywdzonym nieść,
Plotek wyjaśnić im sto,
A potem precz!
Niech taka rzecz
Mści się na kurwach — ho, ho!

Jeżeli sidła zastawiać chcesz,
I kopać jamy na zwierzę,
Co z strąg, ze stajen, z obór i leż
Owce czy gęsi ci bierze,
Już ja w ten czas
Do dziury-m wlaż,
Że niby chcę schwycić to zło,
A przyjdzie sam,

Już ciebie mam
I dalej-że w śmiech — ho, ho, ho.

Nad brzegiem rzek, wśród łąk i kniej
Puszczaj radości swej wodze!
A jest skowronek; o hejże! hej!
Kraść noworodki po drodze
I dalej w świat!
A gdyś je skradł,
Płód elfów na miejsce to
Odrazu kładź,
Niech ma go brać!
I śmiej-że się, śmiej! — Ho, ho, ho!

Wszystkie te nocne uciechy znam
Od dni syna więdźmy, Merlina,
A za me figle nazwisko mam
Dobrego chłopca Robina.
Duchów mnie tłok,
Co lubi mrok,
Zna dobrze, a babin ze sto
Rozpuszcza wieść
Na moją cześć —
Lecz vale! vale! — Ho, ho!

ODWRÓĆ, ODWRÓĆ USTA SWOJE.

Odwróć, odwróć usta swoje,
Co tak słodko mi kłamały,
I te oczy, blasków zdroje,
Jutrznie, ćmiące dzień wspaniały,
Me całunki zwróć jedynie,
Próżno dane w tej godzinie.

Skryj, o skryj te śnieżne wzgórza,
Ciężar łona lodowaty,
Para źdźbeł się z nich wynurza,
Jak wiosenne, wczesne kwiaty!
W wiązach twych me serce młode,
Więc mu naprzód daj swobodę.

ŚPIEW DO LUTNI.

Gdy ból dobywa z piersi jęki,
A troska gniecie twoje serce,
Wówczas muzyki srebrne dźwięki
Ulga dla ciebie są w rozterce.
Na niepokoje i na troski
Muzyka lek posiada boski.

Ona powiększa naszą radość,
Bolu zdejmuje nam ciężary;
Chcesz-li uczynić duszy radość,
Idź, na muzyki zdaj się czary.
Każdy ma zmysł — cóż więcej powiem —
Od niej zależy ze swem zdrowiem.

Muzyką cieszą się bogowie,
Życia naszego w niej obrona,
Bo, jak wam rzymski wieszcz opowie,
Delfin wybawił Oryona
Od pewnej śmierci, zatopiony
W przesłodkie harfy jego tony.

Dla dusz ty jesteś, niebios darze,
Czem gwiazda morska dla okrętów,
O ty muzyko, Bóg ci każe
Pocieszać ludzi wśród zamętów,

Gdy wzruszasz zwierzę i człowieka,
Cóż to za zwierz, co precz ucieka?!

ROBINIE, MIŁY ROBINIE!

„Robinie, miły Robinie,
Co robi twa pani, mów,
A ja ci w tej samej godzinie
O swojej opowiem znów.“

„Ma pani haniebnie stracona!“
„A czemu, opowiedz mi!“
„Innego miłuje ona,
A ze mnie tylko drwi.“

„Ja w bajki takie nie wierzę,
Niewieścią wierność ja znam;
Ma pani miłuje mnie szczerze,
Żadnych nie trzeba jej zmian.“

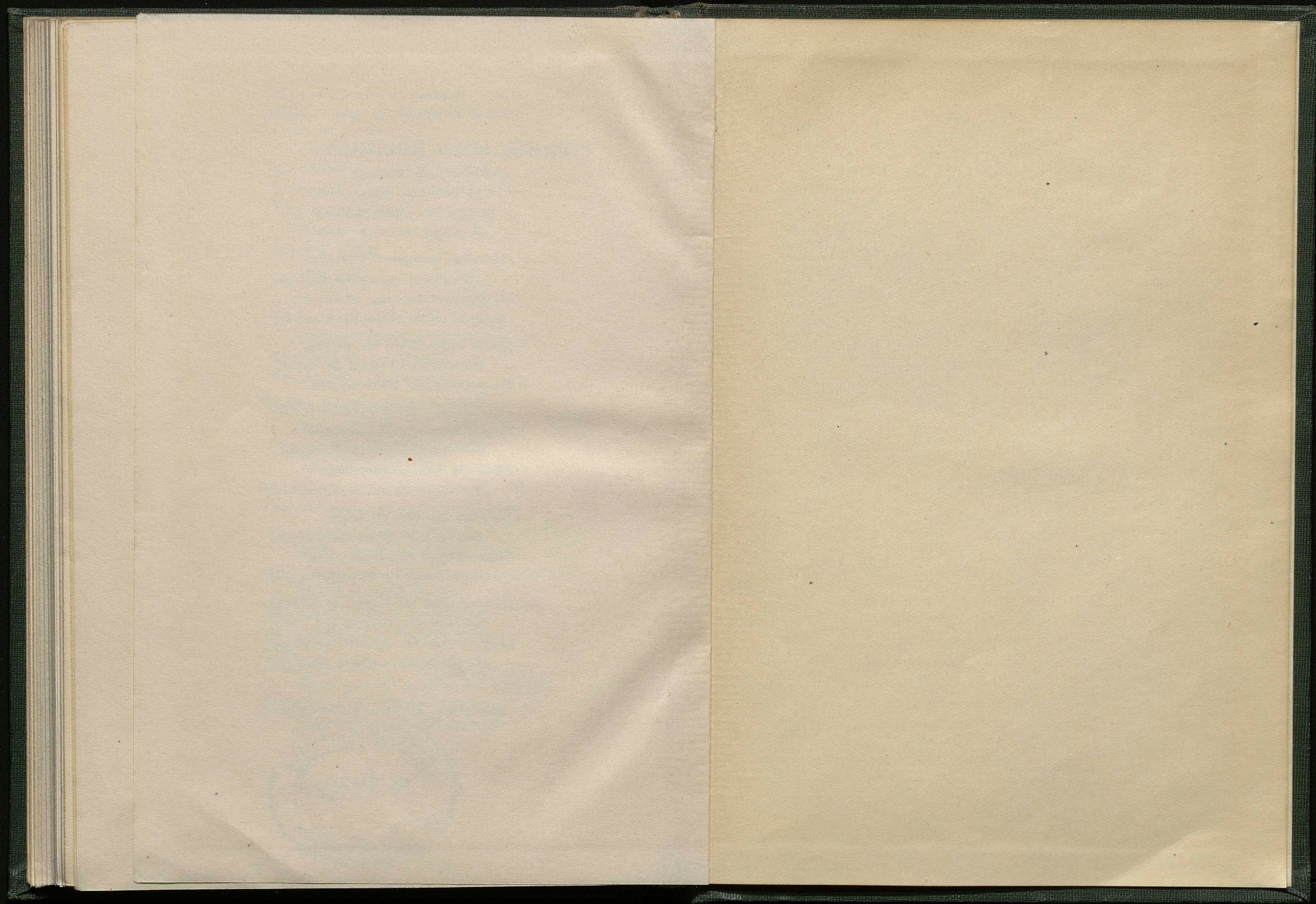
„Szczęśliwym jesteś druhem!
Ja-ć mówię, jak myślę sam:
Miłość za lada podmuchem
To ślania się tu, to znów tam!

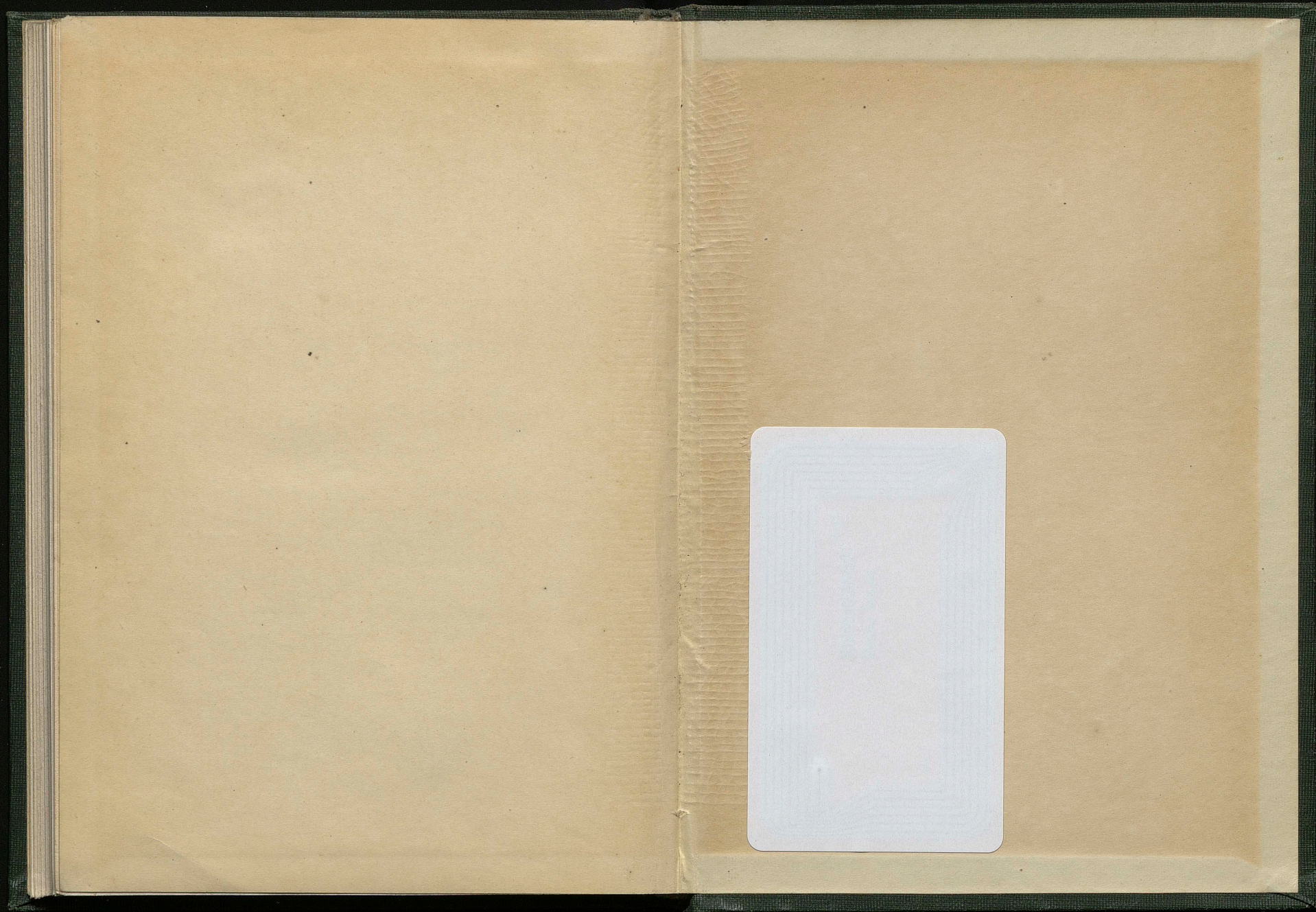
Tacy nie wiedzą, co sroga
Jest miłość! Boże mnie zbaw:
Jedna została mi droga:
Moje cierpienie lub staw!

„Chcesz zbyć się troski, to miewaj
Posłuch dla rady mej:
Przy innych się ogniach zagrzewaj
I inne swym ogniem grzej.“

KONIEC TOMU PIERWSZEGO







821
Obraz
poezji

T. 1

14339